

GEORGES SIMENON

**MAIGRET I TRUP MŁODEJ
KOBIECY**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: MAIGRET ET LA JEUNE MORTE
PRZEŁOŻYŁ LESZEK KOSSOBUDZKI**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

*w którym inspektor Lognon znajduje trupa i w którym
uskarża się, że mu go sprzątnięto sprzed nosa.*

Maigret ziewnął i odepchnął papiery na kraj biurka.

— Podpiszcie to, dziateczki, i możecie iść spać.

Ten pieszczotliwy zwrot odnosił się prawdopodobnie do trójki najoporniejszych drabów, jacy w ciągu ostatniego roku przewinęli się przez komisariat. Jeden — którego nazywano Dodusiem — wyglądał jak goryl, a najwątleszy, z podbitym na fioletowo okiem mógłby z powodzeniem zarabiać na życie jako zapaśnik na ludowych festynach.

Janvier podsunął im papiery i pióro; teraz, kiedy wreszcie mieli to z głowy, nie wdawali się już w żadne dyskusje, nie czytali nawet protokołów przesłuchania, podpisywali kolejno z minami wyrażającymi obrzydzenie.

Marmurowy zegar wskazywał kilka minut po trzeciej. Większość biur przy Quai des Orfèvres* tonęła w ciemności. Od dłuższego czasu ciszę przerywały tylko dolatujące z dala klaksony albo pisk hamulców taksówki ślizgającej się aa mokrym bruku. Kiedy wczoraj zjawili się tutaj, pokoje biurowe także świeciły pustkami, ponieważ nie było dziewiętej i pracownicy jeszcze nie nadeszli. Na zewnątrz padało; mżył drobny, przygnębiający kapuśniaczek.

Przeszło trzydzieści godzin opędzili w tych murach, chwilami razem, czasem rozdzieleni, podczas gdy Maigret i jego pięciu współpracowników na zmianę wyciągali z nich zeznania.

— Kretyni! — stwierdził komisarz, jak tylko weszli. — To trochę potrwa.

Takich tępaków zawsze najtrudniej zmusić do mówienia prawdy: wyobrażają sobie, że nie udzielając żadnej odpowiedzi albo mówiąc byle co czy choćby podając co pięć minut inną wersję zdołają się jakoś wykręcić. Zdaje im się, że są sprytniejsi od wszystkich innych i na początku nieodmiennie zaczynają się stawiać. „Myśli pan, że ze mną tak łatwo pójdzie?”

Już od kilku miesięcy „pracowali” w okolicach ulicy La Fayette wybijając dziury w ścianach domów; gazety nazywały ich „dziurkaczami”. Dzięki anonimowemu telefonowi udało się wreszcie ich przyskrzynić.

Na dnie filiżanek było jeszcze kilka łyków kawy; mały emaliowany dzbanek, „w którym się parzyła, stał na maszynce. Wszyscy mieli rysy ściągnięte zmęczeniem i szaroziemistą cerę. Maigret wypalił już tyle, że drapało go w gardle; obiecywał sobie, że jak tylko załatwią się z tymi trzema typami, wyskoczą gdzieś z Janvierem na cebulową zupę. Senność odeszła go zupełnie. Koło jedenastej wieczór poczuł nagły przypływ zmęczenia i poszedł zdrzemnąć się chwilę w swoim pokoju. Teraz nawet nie myślał o tym, aby się położyć.

— Poproś Vachera, żeby ich odstawił.

Właśnie wychodzili z pokoju inspektorów, kiedy zadzwonił telefon. Maigret podniósł słuchawkę.

— Który to? — usłyszał.

Zmarszczył brwi i nie odpowiedział od razu. Na drugim końcu drutu indagowano dalej:

— Jussieu?

Tak nazywał się inspektor, który powinien był mieć dyżur, a którego Maigret odesłał do domu o dziesiątej wieczór.

— Nie. Tu Maigret — mruknął.

— Przepraszam bardzo, panie komisarzu. Tu Raymond z centrali.

Raymond dzwonił z sąsiedniego gmachu, gdzie w ogromnym pokoju mieściła się centrala telefoniczna paryskiej policji. W całym mieście znajdowały się specjalne skrzynki alarmowe.

* Quai des Orfèvres — ulica w Paryżu, przy której m. in. mieści się siedziba policji (przyp. tłum.).

Po rozbiciu szybki i naciśnięciu guzika, na mapie zajmującej całą ścianę sali komendy zapalało się światelko. Dyżurny policjant włączał w tablicę rozdzielczą odpowiednią wtyczkę.

— Komenda Główna. Słucham.

Czasem chodziło o zwykłą bójkę, czasem o pijaka, który stawiał opór, czasem dzwonił patrolujący swój odcinek policjant, który potrzebował pomocy.

Dyżurny wkładał wtedy wtyczkę do innej dziurki.

— Posterunek przy ulicy Grenelle? To ty, Justin? Wyślij jakiś wóz na Bulwar w pobliżu numeru 210...

W komendzie dyżurowało każdej nocy dwu, trzech ludzi. Pewnie także parzyli sobie kawę. Od czasu do czasu, kiedy wypadek był poważny, alarmowali Wydział Śledczy. Ale często dzwoniли na komendę po prostu, aby trochę pogadać z kumplem. Maigret znał Raymonda.

— Jussieu poszedł do domu — powiedział. — Chciałeś mu coś przekazać?

— Tylko to, że przy placu Vintimille znaleziono zwłoki jakiejś dziewczyny.

— Żadnych szczegółów?

— Ludzie z II obwodu są już chyba na miejscu. Sygnał odebrałem może trzy minuty temu.

— Dziękuję ci.

Trójkę drabów nareszcie wyekspediowano. Janvier wrócił do biura. Jak zawsze po nocnym dyżurze, powieki miał nieco zaczerwienione; spory zarost nadawał jego cerze niezdrowy wygląd.

Maigret narzucił płaszcz i rozejrzał się za kapeluszem.

— Idziesz? — spytał Janviera.

Zeszli gęsiego po schodach. Zwykle chodzili na zupę cebulową do Hal Targowych. Kiedy mijali małe czarne samochody stojące rzędem na dziedzińcu, Maigret zawahał się.

— Przed chwilą na placu Vintimille znaleziono zwłoki jakiejś dziewczyny — powiedział.

Po czym, jak ktoś, kto szuka pretekstu, aby nie iść spać, dorzucił:

— Pojedziemy zobaczyć?

Janvier usiadł za kierownicą jednego z samochodów. Byli zbyt zmęczeni wielogodzinnym śledztwem, które dopiero co zakończyli, aby cokolwiek mówić.

Maigret nawet nie uświadamiał sobie faktu, że II obwód podlegał Lognonowi, którego koledzy przezywali Inspektor Fajtłapa. Zresztą, gdyby o tym pomyślał, i tak by to nic nie zmieniło; Lognon nie musiał przecież mieć akurat tej nocy dyżuru na posterunku przy ulicy La Rochefoucauld.

Ulice były opustoszałe, mokre; drobne kropelki tworzyły wokół gazowych latarni miniaturowe aureole; pod ścianami domów przemykały się z rzadka ludzkie cienie. Na rogu Montmartre'u i Wielkich Bulwarów była jeszcze otwarta kawiarnia; dalej widniały oświetlone reklamy dwu czy trzech nocnych lokali i rząd taksówek stojących wzdłuż krawężnika.

Położony o dwa kroki od placu Blanche plac Vintimille wyglądał jak spokojna wysepka. Na skraju stał zaparkowany wóz policyjny. Obok ogrodzenia małego skweru widać było czterech czy pięciu mężczyzn otaczających leżący na ziemi jasny kształt.

Maigret spostrzegł od razu niską i szczupłą sylwetkę Lognona. Inspektor Fajtłapa wysunął się naprzód, chcąc zobaczyć, kto przybywa. On także poznał Maigreta i Janviera.

— No to cześć! — mruknął komisarz.

Oczywiście Lognon znów powie, że zrobił to celowo. Tutaj była jego, Lognona, dzielnica, jego pole działania. Wypadek zdarzył się akurat, kiedy on miał dyżur, dając mu okazję do wyróżnienia się, okazję, na którą czekał już od tyłu lat. I niemal natychmiast zjawia się Maigret!

— Telefonowano po pana do domu? — spytał podejrzliwie, przekonany, że to jakiś spisek przeciw niemu.

— Byłem w komendzie akurat kiedy zadzwonił Raymond. Przyjechałem popatrzeć.

Mimo wszystko Maigret nie zdobyłby się na to, aby odejść nie dowiedziawszy się, o co chodzi, byle tylko ukoić podejrzliwość Lognona.

— Nie żyje? — spytał, wskazując na leżącą kobietę.

Lognon skinął potakująco głową. Nad zwłokami stało trzech umundurowanych funkcjonariuszy i jakaś para. Byli to, jak się komisarz później dowiedział, pierwsi, którzy zobaczyli trupa i zaalarmowali policję. Wystarczyłoby, aby wszystko to stało się o jakieś sto metrów dalej, a natychmiast zebrałaby się gromada gapiów, ale mało kto przechodzi w nocy przez plac Vintimille.

— Kto to taki?

— Nie wiadomo. Nie ma żadnych dokumentów.

— Nie miała torebki?

— Nie.

Maigret zrobił kilka kroków i pochylił się. Kobieta leżała na prawym boku; policzek dotykał mokrego chodnika, jedną stopę miała bosą.

— Nie znaleziono buta?

Lognon milcząco zaprzeczył. Widok palców u nogi prześwitujących przez cienką pończochę był dość zaskakujący. Kobieta miała na sobie wieczorową suknię z jasnoniebieskiej satyny; być może ze względu na pozycję, w jakiej się znajdowała, suknia zdawała się o wiele za duża.

Twarz była młoda. Maigret pomyślał, że dziewczyna musiała mieć najwyżej dwadzieścia lat.

— Gdzie doktor?

— Właśnie na niego czekam. Powinien już być.

Maigret zwrócił się do Janviera.

— Trzeba zadzwonić do Wydziału Śledczego. Powiedz im, żeby przysłali fotografów.

Na sukni nie było śladów krwi. Komisarz wziął od jednego z policjantów latarkę i oświetlił twarz leżącej. Zdawało mu się, że lewe oko było lekko podbite, górna warga obrzmiała.

— Nie miała płaszcza? — spytał jeszcze.

Był marzec i raczej ciepło, ale nie do tego stopnia, aby spacerować po nocy, szczególnie w deszcz, w lekkiej sukni, która nie zakrywała ramion i trzymała się tylko na wąskich ramiączkach.

— Prawdopodobnie, nie zabito jej tutaj — mruknął ponuro Lognon, który udawał, iż pomagając komisarzowi spełnia tylko swój obowiązek, ale że cała sprawa zupełnie go nie obchodzi.

Wyraźnie trzymał się na uboczu. Janvier poszedł zadzwonić do jednego z barów, które mieściły się przy placu Blanche. W chwilę potem nadjechała taksówka wioząca lekarza rejonowego.

— Może pan rzucić okiem, doktorze, ale niech pan nie zmienia położenia ciała, zanim nie zjawią się fotografowie. Nie ulega wątpliwości, że ona nie żyje.

Lekarz schylił się, dotknął przegubu i piersi leżącej, po czym obojętnie, bez słowa, wyprostował się i czekał, jak inni.

— Idziesz? — odezwała się kobieta, która trzymała męża pod rękę i której zrobiło się zimno.

— Zaczekaj jeszcze trochę.

— Niby na co?

— Nie wiem. Oni na pewno będą coś robić.

Maigret zwrócił się do nich.

— Czy państwo podali swoje nazwisko i adres?

— Tak, temu panu.

Wskazali na Lognona.

— O której państwo znaleźli ciało?

Wymienili spojrzenia.

— Wyszliśmy z kabaretu o trzeciej nad ranem.

— Pięć po trzeciej — sprostowała kobieta. — Popatrzyłam na zegarek, kiedy odbierałeś rzeczy z szatni.

— Nieważne. Żeby dojść tutaj, wystarczyło trzy, cztery minuty. Mieliśmy właśnie okrążyć plac, kiedy zobaczyłem jasną plamę na chodniku.

— Czy ona już nie żyje?

— Przypuszczam, że nie. Nie ruszała się.

— Pan jej nie dotykał?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

— Wysłałem żonę, żeby zawiadomiła policję. Na rogu bulwaru Clichy jest skrzynka alarmowa. Wiem o tym, bo mieszkamy o kilka kroków stąd, przy bulwarze Batignolles.

Po chwili wrócił Janvier.

— Będą tu za kilka minut — oznajmił.

— Nie było tam chyba Moersa?

Mimo iż nie umiał tego wytłumaczyć, Maigret miał wrażenie, że jest to początek jakiejś dość zagmatwanej afery. Stał z fajką w zębach i rękami w kieszeniach, zerkając od czasu do czasu na leżącą kobietę. Niebieska suknia nie robiła wrażenia ani nowej, ani zbyt świeżej, materiał był dość pospolity. Mogła należeć do jednej z licznych cór Koryntu, działających w nocnych lokalach Montmartre'u. Wskazywało na to także srebrzyste czółenko na bardzo wysokiej szpilce, o startej, zniszczonej zelówce.

Pierwsze, co się nasuwało, to że wracając do domu prostytutkę ktoś napadł i ukradł jej torebkę. Ale przecież nie zabierałby jednego buta i prawdopodobnie nie zadawałby sobie trudu, aby zdzierać z ofiary płaszcz.

— Musiano ją zabić gdzie indziej — powiedział Maigret półgłosem, zwracając się do Janviera.

Lognon, który bacznie nadstawiał ucha, dosłyszał to i skrzywił się ironicznie; on pierwszy wpadł przecież na ten pomysł.

Gdyby jednak zabito ją gdzie indziej, po cóż by taszczono ciało aż na ten plac? Morderca nie mógł nieść trupa na ramionach. Musiał więc mieć samochód. W takim wypadku byłoby mu znacznie łatwiej ukryć zwłoki na jakimś odludziu lub wrzucić do Sekwany.

Ale tym, co intrygowało Maigreta najbardziej, choć przyznawał się do tego sam przed sobą, była twarz ofiary. Dotychczas znał ją tylko z profilu. Czy ten lekko nadąsany wyraz był spowodowany tylko obrzękiem? Można by rzec: naburmuszone dziecko. Odrzucone do tyłu ciemne, bardzo miękkie włosy zwijały się w naturalne pukle. Makijaż rozpułnął się trochę na deszczu, ale fakt ten miał postarzać ją i szpecić, czynił dziewczynę jeszcze młodszą i bardziej pociągającą.

— Niech pan pozwoli na chwilę, Lognon.

Maigret odciągnął go na bok.

— Słucham, szefie.

— Ma pan jakiś pomysł?

— Pan dobrze wie, że ja nigdy nie mam żadnych pomysłów. Jestem tylko zwykłym inspektorem dzielnicowym,

— Nigdy jej pan nie widział?

Lognon znał okolice placu Blanche i placu Pigalle jak własną kieszeń.

— Nie, nigdy.

— prostytutka?

— Jeśli nawet, to żadna ze stałych. Znam je prawie wszystkie.

— Będzie mi pan potrzebny.

— Jeśli mówi mi pan to tylko po to, aby mi zrobić przyjemność, to może pan sobie darować. Z chwilą kiedy Quai des Orfèvres przejmuje sprawę, przestaje mnie ona obchodzić. Ja nie protestuję. Normalna rzecz. Przywykłem do tego. Pan będzie tylko rozkazywał, a ja zrobię, co mogę.

— Może byłoby nieźle już teraz przesłuchać portierów nocnych lokali?

Lognon rzucił okiem na leżącą i rzekł z westchnieniem:

— Już idę.

Dla niego było zupełnie jasne, że się go odsuwa. Oddalił się swoim zwykłym, zmęczonym krokiem i przeszedł na drugą stronę ulicy. Widać było, że usiłuje nie oglądać się za siebie.

Zajeżdżał samochód z Wydziału Śledczego. Jeden z policjantów usiłował odepchnąć pijaka, który oburzał się, że nikt nawet nie próbuje pomóc „małej damie”.

— Wszystkie gliny są takie same. Dlatego, że ktoś się trochę za... tego...

Kiedy zrobiono zdjęcia, doktor mógł już odwrócić ofiarę na plecy; odsłonięta teraz całkowicie twarz wyglądała jeszcze młodziej.

— Co było przyczyną zgonu? — zapytał Maigret.

— Złamanie podstawy czaszki.

Lekarz trzymał rękę we włosach zmarłej.

— Uderzono ją w głowę czymś bardzo ciężkim: młotkiem, kluczem francuskim, ołowianą rurą — skąd mogę wiedzieć? Przedtem bito ją po twarzy, wygląda na to, że pięścią.

— Czy może pan w przybliżeniu określić godzinę zgonu?

— Moim zdaniem, między drugą a trzecią rano. Doktor Paul po sekcji będzie to mógł określić dokładniej.

Zjawiała się również karetka z Instytutu Medycyny Sądowej. Ludzie czekali tylko na znak, aby wrzucić ciało na nosze i odjechać w kierunku mostu Austerlitz*.

— Zabierajcie ją — westchnął Maigret.

Poszukał wzrokiem Janviera.

— Przekąsimy coś?

Odechciało im się już wprawdzie jeść, mimo to wszedłszy do knajpki kazali podać, jak to uzgodnili przed godziną, dwie zupy cebulowe. Maigret polecił wysłać fotografię zamordowanej do gazet, tak aby jeśli to możliwe, ukazała się już w porannych wydaniach.

— Jedzie pan tam? — spytał Janvier.

Maigret wiedział, że Janvier ma na myśli kostnicą, którą obecnie nazywano Instytutem Medycyny Sądowej.

— Chyba wstąpię.

— Doktor Paul tam będzie. Dzwoniłem do niego.

— Wypijemy po jednym?

— Jak pan chce.

Przy sąsiednim stoliku dwie kobiety jadły kwaszoną kapustę; prostytutki, obie w wieczorowych sukniach. Maigret przyglądał im się uważnie, jakby chciał wyłapać najdrobniejsze nawet różnice między nimi a ofiarą.

— Idziesz do domu?

— Odprowadzę pana — zdecydował Janvier.

Było wpół do piątej, kiedy dotarli do Instytutu Medycyny Sądowej. Doktor Paul, który dopiero co nadszedł, z papierosem przyklepionym do dolnej wargi, jak zawsze, kiedy miał zabrać się do roboty, wkładał właśnie biały fartuch.

— Obejrzał ją pan, doktorze?

— Rzuciłem okiem.

Nagie ciało leżało na marmurowym blacie; Maigret odwrócił wzrok.

* Siedziba paryskiego Instytutu Medycyny Sądowej (przyp. tłum.).

— Co pan o tym sądzi?

— Daję jej najwyżej dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Była zupełnie zdrowa, ale podejrzewam, że trochę niedożywiona.

— Dziewczynka z kabaretu?

Doktor Paul spojrział na niego małymi, przebiegłymi oczkami.

— Chce pan powiedzieć, że jedna z tych, co sypiają z klientami?

— Mniej więcej.

— W takim razie odpowiedź brzmi: nie.

— Skąd ta niezachwiana pewność?

— Bo ta dziewczyna nigdy z nikim nie spała.

Janvier, który machinalnie patrzył na oświetlone reflektorem ciało, zaczerwienił się i odwrócił głowę.

— Jest pan tego pewny?

— Całkowicie.

Doktor wciągał gumowe rękawice i rozkładał narzędzia na emaliowanym stole.

— Panowie zostają?

— Będziemy obok. Długo to potrwa?

— Godzinkę. Zależy, co znajdzie. Chcą panowie mieć analizy treści żołądka?

— Przede wszystkim. Nigdy nic nie wiadomo.

Maigret i Janvier przeszli do sąsiedniego pomieszczenia biurowego i usiedli ze wzrokiem wlepionym w jeden punkt, jak w poczekalni u lekarza. I jeden, i drugi mieli przed oczyma tamto młode białe ciało.

— Zachodzę w głowę, kim ona może być — mruknął po dłuższej chwili Janvier. — Wieczorową suknię wkłada się tylko do teatru, do kabaretu albo na jakieś przyjęcie.

Obaj widocznie myśleli o tym samym. Coś się tu nie zgadzało. Towarzyskie zebrania, na które wkłada się strój wieczorowy, nie zdarzają się tak często, zresztą rzadko można tam zobaczyć suknię tak tanią i sfatygowaną, jaką miała na sobie nieznaną.

— Z drugiej strony, po tym, co przed chwilą stwierdził doktor Paul, trudno było zakładać, że dziewczyna „pracowała” w jakimś nocnym lokalu na Montmartrze.

— Ślub? — powiedział Maigret bez przekonania.

Jest to jeszcze jedna okazja, na którą ludzie się stroją.

— Myśli pan?

— Nie.

Maigret z westchnieniem zapalił fajkę.

— Poczekajmy.

Siedzieli w milczeniu dziesięć minut, po czym Maigret zwrócił się do Janviera:

— Nie miałbyś ochoty pójść po jej ubranie?

— Naprawdę panu to potrzebne?

Komisarz skinął głową.

— Chyba że nie masz odwagi.

Janvier otworzył drzwi. Nie było go może ze dwie minuty; kiedy wrócił, był tak blady, że Maigret zląkł się, czy nie zrobiło mu się niedobrze. W rękę trzymał niebieską suknię i białą bieliznę.

— Paul kończy już?

— Nie wiem. Wołałem nie patrzeć.

— Daj mi suknię.

Musiała być często prana; odgiąwszy zakładkę można się było przekonać, że materiał jest spłóziały. Na metce napis: „»Panna Irena«, ulica Douai 35 bis”.

— To zaraz koło placu Vintimille — zauważył Maigret. Obejrzał pończochy — jedna stopa była przemoczona — majtki i stanik, wąski pasek do podwiązek.

— To wszystko, co miała na sobie?

— Tak. But pochodzi z ulicy Notre-Dame-de-Lorette. Ciągle ta sama dzielnica. Gdyby nie zapewnienie doktora Paula, wszystko przemawiałoby za tym, że to prostytutka albo młoda kobieta szukająca przygód na Montmartrze.

— Może Lognon coś znajdzie? — podsunął Janvier.

— Wątpię.

Obaj czuli się niewyraźnie, myśleli tylko o tym, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Minęły trzy kwadranse, zanim drzwi się uchylły. Kiedy zajrzeli do sąsiedniego pomieszczenia, zwłok już nie było; jakiś człowiek zasuwał właśnie jedną z metalowych szuflad, w których przechowuje się ciała.

Doktor Paul zdjął fartuch i zapalił papierosa.

— Nie znalazłem wiele — powiedział. — Śmierć nastąpiła na skutek pęknięcia czaszki. Musiało być więcej niż jedno uderzenie; co najmniej trzy silne ciosy. Nie potrafię ustalić, czym się posłużono. Mogło to być jakieś narzędzie, mosiężne szczypce do kominka albo świecznik, cokolwiek, co jest odpowiednio twarde i długie. Najpierw upadła na kolana i usiłowała się kogoś ucześcić, bo za paznokciami znalazłem strzępki ciemnej wełny. Zaraz je wysłę do laboratorium. Fakt, że jest to wełna, zdaje się wskazywać, że było to męskie ubranie.

— To znaczy, że była jakaś walka?

Doktor Paul otworzył szafkę, w której oprócz fartucha, gumowych rękawiczek i różnych drobiazgów leżała butelka.

— Napijcie się po szklaneczce?

Maigret przystał bez fałszywego wstydu. Widząc to Janvier również skinął głową.

— To, co teraz powiem, jest tylko moim prywatnym przypuszczeniem. Zanim ją uderzono tym przedmiotem, musiano ją bić po twarzy pięścią lub nawet otwartą dłonią. Mam wrażenie, że oberwała sporo siarczystych policzków. Nie wiem, czy właśnie wtedy upadła na kolana, ale jestem skłonny tak mniemać. I pewnie w tym momencie ów ktoś zdecydował się ją wykończyć.

— To znaczy, że nie zaatakowano jej od tyłu?

— Z pewnością nie.

— Nie mógł to więc być jakiś włóczęga, który napadł ją zza rogu?

— Moim zdaniem nie. I nic nie wskazuje na to, aby to się stało na dworze.

— Analiza zawartości żołądka nic panu nie dała?

— Owszem. Analiza krwi także.

— Co?

Na wargach doktora Paula błąkał się lekki uśmieszek, który zdawał się mówić: „Uwaga, rozczaruję was”. Odczekał chwilę, jak zawsze, kiedy opowiadał jedną ze swoich dobrych anegdotek, w czym celował.

— Była niemal zupełnie pijana.

— Jest pan tego pewny?

— Jutro znajdziecie panowie w moim raporcie procent alkoholu, jaki stwierdziłem we krwi. Prześlę wam także, jak tylko skończę, wynik kompletnej analizy treści żołądka. Ostatni posiłek musiała spożyć jakieś sześć do ośmiu godzin przed śmiercią.

— A o której nastąpił zgon?

— Około drugiej nad ranem. Raczej przed drugą niż po drugiej.

— To by określało na szóstą czy siódmą wieczór porę jej ostatniego posiłku.

— Ale nie ostatniej szklaneczki.

Mało prawdopodobne, aby zwłoki leżały długo na placu Vintimille. Dziesięć minut. Kwadrans. Na pewno nie więcej. Tak więc od chwili śmierci do złożenia ciała na chodniku upłynęło co najmniej trzy kwadranse.

— Jest jakaś biżuteria?

Paul poszedł do sąsiedniego pokoju. Przyniósł stamtąd parę złych klipsów, ozdobionych małymi rubinami w kształcie kwiatków, i pierścionek, również z rubinem, nieco większym. Nie była to tandeta, ale też i nic specjalnie wartościowego. Wszystkie trzy klejnociki, sądząc z ich stylu, pochodziły sprzed jakichś trzydziestu, może nieco więcej, lat.

— To wszystko? Obejrzał pan jej ręce?

Jedną ze specjalności doktora Paula było określanie zawodu człowieka według mniej lub bardziej widocznych zniekształceń dłoni; wielokrotnie już umożliwiło to identyfikację nie znanych osobników.

— Zajmowała się trochę domem, ale niewiele. To nie była ani sekretarka, ani krawcowa. Trzy lub cztery lata temu była operowana na ślepą kiszkę przez jakiegoś drugorzędowego chirurga. To wszystko, co na razie mogę stwierdzić. Idzie pan?

— Myślę, że tak — mruknął Maigret.

— A więc dobrej nocy. Ja zostaję. Koło dziesiątej dostanie pan mój raport. Może jeszcze szklaneczkę?

Maigret i Janvier wyszli na ulicę; na zakotwiczonych przy bulwarze barkach z węglem zaczynał się zwykły ruch.

— Odwieźć pana do domu, szefie?

Maigret zgodził się. Minęli Dworzec Lyoński, na który właśnie zajeżdżał jakiś pociąg. Niebo zaczynało jaśnieć. Było jeszcze zimniej niż w nocy. W kilku oknach paliło się światło, tu i ówdzie nieliczni ludzie spieszyli do pracy.

— Nie chcę cię widzieć w biurze wcześniej niż po południu.

— A pan?

— Chyba także się prześpię.

— Dobranoc, szefie.

Maigret wszedł ciężko na schody. Kiedy usiłował włożyć klucz do zamka, drzwi otwały się. Pani Maigret, w nocnej koszuli, przekreśliła wyłącznik i spojrzała na niego, mrużąc oślepione światłem oczy.

— Późno wracasz! Która godzina?

Żeby nie wiem jak głęboko spała, nigdy jeszcze nie udało mu się wejść na schody tak, aby jej nie obudzić.

— Nie wiem. Po piątej.

— Chce ci się jeść?

— Nie.

— Kładź się zaraz. Może filiżankę kawy?

— Dziękuję.

Rozebrał się i wśliznął do ciepłego łóżka. Ale zamiast zasnąć, dalej myślał o młodej kobiecie z placu Vintimille. Za oknami słychać było budzący się powoli Paryż, pojedyncze, raz bliskie, raz dalekie odgłosy stopniowo łączyły się w dobrze znaną symfonię. Dozorcy zaczęli wyciągać pojemniki na śmieci na brzeg chodników. Na schodach rozległy się kroki małej pomocnicy mleczarza, która stawiała pod drzwiami butelki z mlekiem.

W końcu pani Maigret wstała z niesłychanymi ostrożnościami; sporo go kosztowało, aby się nie uśmiechnąć i nie zdradzić, że nie śpi. Słyszał, jak idzie do łazienki, a potem zapala gaz w kuchni; wkrótce poczuł zapach kawy wypełniający cały dom.

Nie spał wcale nie dlatego, że nie chciał usnąć; był po prostu zbyt zmęczony. .

Żona wzdrygnęła się, kiedy w pantoflach i w szlafroku wszedł do kuchni, gdzie jadła śniadanie. Światło paliło się jeszcze, choć na dworze było już zupełnie jasno.

— Nie śpisz?

— Jak widzisz.

— Chcesz śniadanie?

— Jeśli można.

Nie pytała, dlaczego większą część nocy spędził poza domem. Zauważyła, że jego płaszcz jest mokry.

— Nie zaziębiłeś się?

Wypiwszy kawę podniósł słuchawkę i zadzwonił na komisariat II obwodu.

— Jest inspektor Lognon?

Nocne lokale pozamykano już dawno i Lognon mógłby iść już do domu. Mimo to siedział jeszcze w biurze.

— Lognon? Tu Maigret. Ma pan coś nowego?

— Nie. Obszedłem wszystkie kabarety, przesłuchałem także kierowców taksówek, które stały na postojach.

Pamiętając, co powiedział doktor Paul, Maigret był na to przygotowany.

— Myślę, że może pan już iść spać.

— A pan?

W języku Lognona znaczyło to: „Wysłała mnie pan do łóżka, aby móc po swojemu prowadzić śledztwo. W ten sposób potem będzie można powiedzieć: ten głupi Lognon nic nie zrobił!”

Maigret pomyślał o pani Lognon, chudej, cierpiącej kobiecie, której dolegliwości nie pozwalały opuszczać mieszkania przy placu Constantin–Pecqueur. Wracającego do domu inspektora czekały wieczne jęki i biadolenia, musiał zajmować się gospodarstwem i biegać po sprawunki.

„Porządnie wytarłeś pod kredensem?”

Zrobiło mu się żal Fajtłapy.

— Mam jedną małą poszlakę. Nie jestem pewny, czy to coś da.

Na drugim końcu przewodu panowało milczenie.

— Jeśli naprawdę nie ma pan ochoty spać, wpadnę po pana za jakąś godzinę lub dwie.

— Będę w biurze.

Maigret zadzwonił na Quai des Orfèvres po samochód i polecił, żeby kierowca wstąpił najpierw do Instytutu Medycyny Sądowej po rzeczy młodej kobiety.

Dopiero gdy znalazł się w wannie, o mało nie usnął i przez chwilę miał ochotę zatelefonować do Lognona, aby sam udał się, na ulicę Douai do „Panny Ireny”.

Deszcz już nie padał. Niebo miało kolor jasnoszary, przez który, przebijało lekko żółtawe światło, co pozwalało się spodziewać słońca w ciągu dnia.

— Wrócisz na obiad?

— Chyba tak. Nie wiem.

— Zdawało mi się, że miałeś skończyć śledztwo wczoraj wieczór.

— Skończyłem je. Chodzi o inne.

Nie ubierał się, póki nie zobaczył małego wozu policyjnego hamującego przy chodniku. Kierowca trzykrotnie nacisnął klakson. Maigret przez okno dał mu znak, że już wychodzi.

— Do zobaczenia niedługo.

Dziesięć minut później, kiedy przejeżdżali przez Montmartre, nie pamiętał już, że przez całą noc nie zmrużył oka.

— Przystań gdzie bądź, żebyśmy mogli wskoczyć na szklaneczkę wina — powiedział do kierowcy.

ROZDZIAŁ DRUGI

*w którym Fajtlapa odnawia starą znajomość
i w którym Lapointe'owi powierzają oryginalną misję.*

Inspektor Lognon stał na skraju chodnika przy ulicy La Rochefoucauld; nawet z daleka sprawiał wrażenie przytłoczonego ciężarem złego losu. Ubrany był jak zwykle w jeden ze swoich odwiecznych mysiopopielatych garniturów, które nigdy nie oglądały żelazka, równie szary płaszcz i brudnobrązowy kapelusz. Jego cera była żółtoszara, poza tym miał minę ciężko zakatarzonego. Nie był to bynajmniej wynik nie przespanej nocy. Po prostu tak wyglądał zawsze i nawet wstając z łóżka przedstawiał żaloszny obraz.

Maigret zapowiedział przez telefon, że wstąpi po niego, ale nie żądał, aby Lognon czekał na dworze. Fajtlapa umyślnie jednak stał na chodniku, jakby tkwił tu od wielu godzin. Nie tylko sprzątnięto mu sprzed nosa jego sprawę, ale jeszcze zmuszono go, aby tracił czas i po nie przespanej nocy marzył na ulicy.

Otwierając mu drzwiczki Maigret rzucił okiem na budynek, w którym mieścił się komisariat. Wyblakły sztandar zdobiący fasadę zwisał smętnie w nieruchomym powietrzu. Tu właśnie Maigret stawiał niegdyś pierwsze kroki — nie jako inspektor, ale jako pomocnik komisarza.

Lognon bez słowa opadł na siedzenie, umyślnie nie pytając, dokąd go wiozą. Kierowca skręcił w lewo w stronę, ulicy Douai.

Rozmowa z Lognonem była zawsze trudna i delikatna; cokolwiek by się powiedziało, inspektor zawsze umiał w tym znaleźć powód do urazy.

— Czytał pan gazetę?

— Nie miałem na to czasu.

Maigret wyciągnął z kieszeni dziennik, który przed chwilą kupił. Fotografia nieznanego figurowała na pierwszej stronie. Była to tylko głowa, z widocznymi śladami uderzeń pod okiem i na wardze, co jednak nie zatarło podobieństwa.

— Spodziewam się, że w tej chwili komenda odbiera już pierwsze telefony.

Lognon pomyślał: Innymi słowy, ja straciłem całą noc na darmo, łącząc od jednego lokalu do drugiego i od taksówkarza do taksówkarza. Tymczasem wystarczy tylko posłać fotografię do gazety i czekać na telefony!

Nie było mu do śmiechu. Trudno to wszystko zrozumieć.

Jego twarz przybrała wyraz posępny i zrezygnowany, jakby postanowił, że on, Lognon, będzie żywym wyrzutem sumienia dla okrutnej i źle zorganizowanej ludzkości. Nie dawał żadnych pytań. Był tylko drobnym kółkiem w policyjnej maszynie, a kółkom nie udziela się wyjaśnień.

Ulica Douai była pusta. Tylko w bramie jednej z kamienic stała dozorczyńca. Samochód zatrzymał się przed wymalowanym na białofioletowy kolor sklepieniem, nad którym wisiał napis: „Panna Irena”. A niżej, mniejszymi literami, „Modne, eleganckie suknie”.

Na zakurzonej wystawie wisiały tylko dwie sukienki, biała, naszywana cekinami, i koktajlowa z czarnego jedwabiu.

Maigret wysiadł, dał znak Fajtlapie, aby mu towarzyszył, kazał kierowcy zaczekać i wziął owiniętą w szary papier paczkę, którą przysłano z Instytutu Medycyny Sądowej.

Nacisnąwszy klamkę stwierdził, że drzwi nie puszczają, ale nie są już zamknięte na zatrask. Było wpół do dziesiątej. Przykleiwszy twarz do szyby komisarz zobaczył, że w pokoju za sklepem się świeci, i zaczął pukać.

Przez kilka minut nikt nie reagował na wściekły hałas, jakby nie było żywego ducha. Lognon stał obok bez ruchu, nie rozwierając zaciśniętych warg. Nie palił, zresztą od lat nie miał papierosa w ustach, odkąd żona zaczęła chorować i twierdziła, że dym ją dusi.

W końcu w drzwiach prowadzących na zaplecze sklepu zjawiała się jakaś postać. Była to dość młoda dziewczyna w czerwonym szlafroku, który przytrzymała na piersiach. Przyjrząwszy się im zniknęła, zapewne poszła powiadomić kogoś, potem pojawiła się znów, przeszła przez zawalony sukniami i płaszczami sklep i wreszcie zdecydowała się otworzyć.

— O co chodzi? — spytała patrząc nieufnie na Maigreta, potem na Lognona, w końcu na paczkę.

— Panna Irena?

— Nie.

— A czy ją zastaliśmy?

— Sklep jest zamknięty.

— Chcę mówić z panną Ireną.

— To znaczy kto chce?

— Komisarz Maigret z policji śledczej.

Dziewczyna nie okazała ani zdziwienia, ani strachu. Z bliska zorientowaliśmy się, że nie ma jeszcze osiemnastu lat. Była albo zasnana, albo odznaczała się wrodzoną powolnością.

— Zaraz zobaczę — powiedziała zwracając się w stronę drugiego pokoju.

Słychać było, jak rozmawia z kimś cicho. Potem rozległ się odgłos, jakby ktoś wstawał z łóżka. Upłynęły dwie albo trzy minuty, zanim panna Irena przejechała grzebieniem po włosach i włożyła szlafrok.

Była to niemłoda kobieta, o bladej cerze, wielkich niebieskich oczach i przeredzonych blond włosach, które zaczynały siwieć u nasady. Najpierw wsunęła tylko głowę, aby im się przyjrzeć, wreszcie zjawiała się z filiżanką kawy w ręku.

— Czego jeszcze ode mnie chcesz? — zapytała zwracając się tylko do Lognona.

— Ja nic nie wiem. Komisarz pragnie z panią mówić.

— Panna Irena? — zapytał Maigret.

— Chodzi panu o moje prawdziwe nazwisko? Jeśli tak, to nazywam się Coumar, Elżbieta Coumar. W moim fachu Irena brzmi lepiej.

Podszedłszy do lady, Maigret rozwinął paczkę, z której wyciągnął niebieską suknię.

— Poznaje pani?

Nie zrobiła nawet kroku, by się lepiej, przyjrzeć, i bez wahania odparła:

— Oczywiście.

— Kiedy ją pani sprzedała?

— Nie sprzedałam jej.

— Ale pochodzi z pani sklepu?

Nie poprosiła ich, aby usiedli; nie wyglądała na poruszoną ani zaniepokojoną.

— I co dalej?

— Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

— Czy to ważne?

— Może okazać się bardzo ważne.

— Wczoraj wieczór.

— O której?

— Trochę po dziewiątej.

— Ma pani otwarte po dziewiątej wieczorem?

— Nigdy nie zamykam przed dziesiątą. Prawie codziennie zdarzają się klientki, które kupują coś w ostatniej chwili.

Lognon musiał o tym wiedzieć, ale przybrał obojętny wyraz twarzy, jakby to wszystko go nie obchodziło.

— Mam wrażenie, że pani klientela to prostytutki i artystki kabaretowe?

— Nie tylko. Niektóre wstają dopiero o ósmej wieczór i zawsze brakuje im czegoś z garderoby: pończoch, paska, stanika... Albo nagle stwierdzają, że poprzedniej nocy podarły suknię...

— Przed chwilą powiedziała pani, że nie sprzedała pani tej sukni.

— Wiwiano! Daj mi jeszcze kawy — zwróciła się do dziewczyny stojącej w progu drugiego pokoju.

Dziewczyna z niewolniczą usłużnością wzięła od niej pustą filiżankę.

— To pani służąca? — spytał Maigret odprowadzając ją oczami.

— Nie. Po prostu się nią zajęłam. Kiedyś wieczorem zjawiała się, ot tak sobie, i już została.

Nie zadawała sobie trudu, by coś wyjaśnić.. Chyba Lognon, a którego zerknęła od czasu do czasu, musiał być poinformowany o wszystkim?

— Wracając do wczorajszego wieczoru... — rzekł Maigret.

— Zjawiała się...

— Chwileczkę. Pani ją znała?

— Widziałam ją jeden jedyny raz.

— Kiedy?

— Może miesiąc temu.

— Kupiła kiedyś od pani suknię?

— Nie. Tylko pożyczyła.

— Wypożycza pani garderobę?

— Zdarza się.

— Podała pani swoje nazwisko i adres?

— Chyba tak. Musiałam to zapisać na jakimś świstku. Jak pan chce, mogę poszukać...

— Za chwilę. Kiedy zjawiała się po raz pierwszy, chodziło o suknię wieczorową?

— Tak. Właśnie o tę.

— Czy także tak późno przyszła?

— Nie. Zaraz po kolacji, koło ósmej. Mówiła, że musi mieć wieczorową suknię, ale nie może sobie na nią pozwolić. Pytała, czy to prawda, że ja wypożyczam.

— Nie wydało się pani, że ona jest inna niż wszystkie klientki?

— One zawsze zaczynają od tego, że są inne. Po kilku miesiącach wszystkie są jednakowe.

— Znalazła pani coś odpowiednich rozmiarów?

— Tę niebieską, którą pan trzyma. Model numer czterdzieści. Pamięta wiele nocnych eskapad z „dziewczynkami” z tej dzielnicy.

— Wzięła ją?

— Za pierwszym razem — tak.

— I następnego dnia oddała ją rano?

— W południe. Byłam zaskoczona, że przychodzi tak wcześnie. One przeważnie śpią cały dzień.

— Zapłaciła należność?

— Tak.

— I potem już jej pani nie widziała aż do wczorajszego wieczoru?

— Już panu mówiłam. Było trochę po dziewiątej, kiedy zjawiała się i zapytała, czy mam jeszcze tę suknię. Powiedziałam, że tak. Wtedy zaczęła mi tłumaczyć, że tym razem nie może mi dać kaucji, ale — jeśli mi to odpowiada — zostawi to, co ma na sobie.

— Przebrała się tutaj?

— Tak. Potrzebowała także butów i płaszcza. Wyszukałam jej aksamitne wdzianko z kapturem, które mogło ująć za płaszcza.

— Jak ona wyglądała?

— Jak ktoś, kto koniecznie potrzebuje wieczorowej sukni i płaszcza.

— Inaczej mówiąc, było to dla niej bardzo ważne.

— Dla nich to jest zawsze bardzo ważne.

— Odniosła pani wrażenie, że szła spotkać się z kimś?

Panna Irena wzruszyła ramionami i wypila łyk kawy, którą przyniosła jej Wiwiana.

— Pani podopieczna ją widziała?

— Pomagała jej się ubierać.

— Czy ona mówiła może coś, co zwróciło pani uwagę? — spytał Maigret patrząc na dziewczynę.

Szefowa wyręczyła ją w odpowiedzi.

— Wiwiana nie słucha, co do niej mówią. To ją nic nie obchodzi.

Rzeczywiście, dziewczyna wyglądała, jakby żyła w jakimś niematerialnym świecie. Jej spojrzenie nie wyrażało nic. Poruszała się bezszelestnie, a zwracając się do tęgiej właścicielki Sprawiała wrażenie niewolnika, a raczej psa.

— Wyszukałam dla niej buty, pończochy i wyszywaną srebrem torebkę. A czy coś jej się przytrafiło?

— Nie czytała pani gazet?

— Leżałam jeszcze, kiedy pan zapukał. Wiwiana robiła mi właśnie kawę.

Maigret wyciągnął gazetę. Spojrzała na fotografię, nie okazując zdziwienia.

— To ona?

— Tak.

— Nie dziwi to pani?

— Już od dawna przestało mnie dziwić cokolwiek. Czy suknia jest zniszczona?

— Zamokła na deszczu, ale nie jest podarta.

— Dobrze i to. Domyślam się, że chce pan, żebym wydała panu jej rzeczy? Wiwiano!

Dziewczyna zorientowała się o co chodzi, i otworzyła szafę, w której wisały suknie. Położyła na ladzie czarną wełnianą sukienkę i Maigret natychmiast zaczął szukać firmowej metki.

— Sama ją sobie uszyła — rzekła panna Irena. — Przynieś jej płaszcz, Wiwiano.

Płaszcz, również wełniany, beżowy w brązową kratkę, był drugiego gatunku; zakupiono go kiedyś w wielkich magazynach przy ulicy La Fayette.

— Taniocza, sam pan widzi. Buty niewiele więcej warte. Tak samo bielizna.

Lada zapelniła się rzeczami. Następnie niewolnica przyniosła czarną skórzaną torebkę zamykaną na zatrzask z białego metalu. W środku był tylko ołówek i para zniszczonych rękawiczek.

— Mówiła pani, że pożyczyła jej pani torebkę?

— Tak. Chciała zatrzymać swoją. Zwróciłam jej uwagę, że nie pasuje, i wyszukałam małą wieczorową torebkę wyszywaną srebrem. Przełożyła do niej kredkę do ust, puderniczkę i chusteczkę.

— Nie miała portfela?

— Może i miała. Nie zwróciłam uwagi.

Lognon robił wrażenie świadka rozmowy, do której sam nie został zaproszony.

— O której stąd wyszła?

— Przebieranie trwało około kwadransa.

— Spieszyła się?

— Wyglądało, że tak. Dwa czy trzy razy sprawdzała, która godzina.

— Na swoim zegarku?

— Nie zauważyłam, żeby miała. Zegar wisi nad ladą.

— Kiedy wychodziła, padało. Czy wzięła taksówkę?

— Tutaj nie ma postoju. Poszła w stronę ulicy Blanche.

— Czy i tym razem podała pani swoje nazwisko i adres?

— Nie pytałam jej o to.

— Mogłaby pani odszukać ten kawałek papieru, na którym pani to wtedy zapisała?

Z westchnieniem obeszła ladę naokoło i wysunęła szufladę wypełnioną po brzegi notesikami, rachunkami, ołówkami, próbkami materiałów i mnóstwem najrozmaitszych guzików. Grzebiąc w tym bez przekonania mówiła:

Pan rozumie, przechowywanie ich adresów na nic się zda, na ogół mieszkają w wynajętych pokojach, które zmieniają częściej niż bieliznę. Kiedy już nie mają z czego płacić za komorne, ulatniają się i... Nie! To nie to. Jeśli dobrze pamiętam, to było gdzieś w tej dzielnicy. Znana ulica. Nie mogę znaleźć. Jeśli panu na tym zależy, poszukam jeszcze i zatelefonuję do pana...

— Bardzo panią proszę.

— On pracuje z panem? — wskazała na Lognona. — Będzie panu mógł opowiedzieć coś niecoś na mój temat! Ale musi przyznać, że już od wielu lat jestem w porządku. Prawda, kochasiu?

Maigret owinął wszystko w ten sam szary papier.

— Nie zostawi mi pan niebieskiej sukni?

— Nie w tej chwili. Odeślemy ją pani później.

— Jak pan sobie życzy.

Szedł już do wyjścia, gdy przypomniała mu się jeszcze na sprawa.

— Kiedy zjawiała się wczoraj wieczorem, prosiła panią jakąkolwiek suknię czy o tę, którą już raz miała?

— O tę, którą już raz miała.

— Sądzi pani, że gdyby tej nie było, wzięłaby jakąś inną?

— Nie wiem. Pytała właśnie o tę.

— Dziękuję pani.

— Nie ma za co.

Wrócili do samochodu; niewolnica zamknęła za nimi drzwi. Lognon w dalszym ciągu nie mówił, czekał na pytania.

— Siedziała?

— Trzy czy cztery razy.

— Paserstwo?

— Tak.

— Kiedy miała ostatni wyrok?

— Jakieś cztery czy pięć lat temu. Najpierw była tancerką, potem zastępowała burdel — mamę w czasach, kiedy te rzeczy jeszcze istniały.

— Zawsze miała taką niewolnicę? Kierowca czekał na rozkaz, dokąd ma jechać. — Wraca pan do siebie, Lognon?

— Jeśli nie ma pan dla mnie nic pilnego.

— Plac Constantin-Pecqueur — rzucił Maigret.

— Mogę iść na piechotę.

Do diabła! Jeszcze musi zachowywać się tak pokornie i z taką rezygnacją.

— Zna pan tę Wiwianę?

— Jej nie. Ona od czasu do czasu je zmienia.

— Wyrzuca je?

— Nie. Same odchodzą. Przyjmuje je, kiedy z nimi krucho i kiedy nie wiedzą już, gdzie się podziać.

— Dlaczego?

— Może dlatego, żeby nie musiały spać na ulicy.

Lognon zdawał się mówić: „Wiem, że pan w to nie wierzy i podejrzewa Bóg wie jakie brzydkie sprawki. Może się jednak zdarzyć, że i taka kobieta ma tkliwe serce i robi coś ze zwykłego miłosierdzia. Ja także, wszyscy wyobrażają sobie, że jestem...”

Maigret westchnął.

— Najlepiej byłoby, żeby pan sobie odpoczął, Lognon. Prawdopodobnie będę pana potrzebował tej nocy. Co pan myśli o tej całej historii?

Zamiast odpowiedzi inspektor wzruszył lekko ramionami. Po co udawać, że się myśli, skoro i tak — nie wątpił w to ani przez chwilę — wszyscy mają go za idiotę?

To było nieszczęście. Nie tylko bowiem odznaczał się inteligencją, ale był jednym z najsumienniejszych funkcjonariuszy paryskiej policji.

Samochód zatrzymał się na niewielkim placu przed zwykłą czynszową kamienicą.

— Będzie pan dzwonił do mnie do biura?

— Nie. Do domu. Wolę żeby pan czekał u siebie.

Pół godziny później Maigret zajechał na Quai des Orfèvres trzymając paczkę pod pachą wkroczył do pokoju inspektorów.

— Jest coś dla mnie, Łukaszu?

— Nie, szefie.

Zmarszczył brwi, zdziwiony i zawiedziony. Od czasu, kiedy zdjęcie ukazało się w gazetach, minęło dobrych kilka godzin.

— Nikt nie dzwonił?

— Tylko w sprawie kradzieży sera w halach targowych.

— Mówię o dziewczynie, którą zamordowano tej nocy.

— Nic a nic.

Raport doktora Paula leżał na biurku; komisarzowi wystarczył rzut oka, aby stwierdzić, że nie zawierał nic więcej ponad to, co lekarz sądowy powiedział mu poprzedniej nocy

— Możesz mi przysłać Lapointe'a?

Czekając porozkładał na fotelu całą garderobę zamordowanej i przypatrywać się uważnie to ubraniu, to fotografii dziewczyny.

— Dzień dobry, szefie. Ma pan coś dla mnie?

Maigret pokazał mu zdjęcie, suknię i bieliznę.

— Najpierw zanieśes to wszystko Moersowi na górę i powiesz, żeby zastosował normalną procedurę.

Znaczyło to, że Moers włoży wszystko do papierowego worka, dobrze potrząśnie, aby wytrząpać kurz, który następnie wsadzi pod mikroskop i podda analizie. Czasem dawało to rezultaty.

— Niech zbada także jej torebkę, buty i wieczorową suknię. Dobra? i

— Tak jest. Ciągłe nie wiadomo, kim ona była?

— Nie wiemy nic prócz tego, że wczoraj wieczorem wypożyczyła tę suknię na jedną noc w sklepiku na Montmartrze. Jak Moers skończy, pójdziesz do Instytutu Medycyny Sądowej i obejrzyś dokładnie ciało.

Młody Lapointe, który służył w policji dopiero od dwu lat, skrzywił się.

— To jest ważne. Następnie udasz się do agencji wynajmującej modelki, wszystko jedno, do której. Na przykład na ulicę Saint-Florentin. Postarasz się znaleźć dziewczynę, która miałaby mniej więcej wzrost i tuszę zamordowanej. Model numer czterdzieści.

Przez chwilę Lapointe zastanawiał się, czy szef mówi poważnie, czy też usiłuje sobie z niego zakpić.

— Co dalej? — zapytał.

— Każesz jej przymierzyć tę suknię. Jeśli będą się nadawały, przywieziesz ją na górę i każesz sfotografować.

Lapointe zaczął kapować.

— To nie wszystko. Chcę mieć także fotografię zamordowanej, kompletny makijaż i tak dalej, fotografię, która sprawiałaby wrażenie, że ta dziewczyna żyje.

W Wydziale Identyfikacji mieli fotografa, który był prawdziwym mistrzem, jeśli idzie o tego rodzaju robotę.

— „Wystarczy zrobić fotomontaż z dwóch zdjęć, tak aby ciału modelki dać głowę zamordowanej. Pośpiesz się. Chciałbym to mieć do ostatniego wydania wieczornych gazet.

Gdy został sam, Maigret podpisał kilka dokumentów do wysłania, nabił fajkę i wezwał Łukasza, któremu kazał na wszelki wypadek odszukać teczkę Elżbiety Coumar, zwanej Ireną. Był przekonany, że to nic nie da, że sklepikarka powiedziała prawdę, ale była to, jak dotychczas, jedyna osoba, która rozpoznała zamordowaną z placu Vintimille.

W miarę jak czas upływał, był coraz bardziej zdziwiony kompletnym brakiem telefonów.

Jeśli nieznajoma mieszkała w Paryżu, można było wysnuć pewną ilość hipotez. Primo, że mieszkała z rodzicami; w takim wypadku rodzice zobaczywszy zdjęcie w gazecie, popędziliby na najbliższy komisariat albo na Quai des Orfèvres.

Jeśli mieszkała sama, byli przecież jacyś sąsiedzi, dozorczyjni, musiała robić sprawunki w okolicznych sklepikach.

Może, jak to się często zdarza, mieszkała z przyjaciółką? Byłaby to jeszcze jedna osoba, która powinna zaniepokoić się jej zniknięciem i poznałaby fotografię.

Mogła także wynajmować pokój z utrzymaniem w jakimś internacie dla studentek albo pracujących dziewcząt, takich domów jest sporo, i to jeszcze pomnażałoby liczbę osób, które ją znały.

W końcu pozostawała jeszcze jedna ewentualność, że korzystała z pokoju w którymkolwiek z kilku tysięcy paryskich hotelików.

Maigret zadzwonił do biura inspektorów.

— Jest tam Torrence? Jest wolny? Poproście go, żeby do mnie przyszedł.

Jeśli mieszkała z rodzicami, pozostawało tylko czekać. Jeśli mieszkała sama albo z przyjaciółką — ta sama historia. Ale w innych wypadkach można było przyśpieszyć, bieg wydarzeń.

— Siadaj, Torrence. Widzisz to zdjęcie? Dobra. Będziemy mieli lepsze po południu. Wyobraź sobie, że dziewczyna ma na sobie czarną sukienkę i beżowy płaszcz w kratę. Tak ją musieli zapamiętać ludzie.

W tej chwili przez okno wpadł promień słońca rysując na biurku jasną linię. Maigret przerwał na chwilę, aby się jej przyjrzeć, zaskoczony, jakby zobaczył ptaszka przycupniętego Ina parapecie okna.

— Najpierw udasz się do Zarządu Hoteli i poprosisz, aby pokazano to zdjęcie we wszystkich tanich hotelikach. Najlepiej zacząć od dziewiątki i osiemnastki*. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Tak. Zna pan jej nazwisko?

— Nie wiemy nic. Ty sam zajmiesz się sporządzeniem wykazu internatów dla dziewcząt i oblecisz je wszystkie. Prawdopodobnie nic to nie da, ale nie chcę niczego zaniedbać.

— Rozumiem.

— To wszystko. Weź samochód, żeby było prędeż.

Nagle zrobiło się całkiem ciepło i Maigret otworzył okno. Potem przerzucił jeszcze kilka papierów na biurku, spojrzął na zegarek i postanowił pojechać się przespać.

— Obudź mnie około czwartej — polecił żonie.

— Jeśli to konieczne.

Nie było to konieczne. Wypadało właściwie tylko czekać. Maigret niemal natychmiast zapadł w głęboki sen. Spał tak twardo, że kiedy żona podeszła do łóżka, z filiżanką kawy w ręce, spojrzął na nią zdziwiony i zaskoczony, skąd się wziął w tym tonącym w słońcu pokoju.

— Jest czwarta. Kazałeś mi...

* Dzielnice Paryża są ponumerowane (przyp. tłum.).

— Tak... Nie było telefonu?

— Tylko od hydraulika. Chciał ci powiedzieć...

Pierwsze wydanie popołudniowych gazet ukazało się koło pierwszej. Wszystkie opublikowały to zdjęcie co prasa poranna.

Nawet mimo że rysy zamordowanej były nieco zniekształcone, to przecież panna Irena rozpoznała ją na pierwszy rzut oka, a widziała ją zaledwie dwa razy.

Pozostawała ewentualność, że dziewczyna była spoza Paryża, że nie zatrzymywała się w żadnym hotelu i że w obu wypadkach, kiedy zjawiała się na ulicy Douai, przyjechała zaledwie kilka godzin wcześniej.

To było mało prawdopodobne, zważywszy, że wszystko, co miała na sobie, z wyjątkiem sukienki, którą sobie sama uszyła, zostało zakupione w magazynie przy ulicy La Fayette.

— Wrócisz na kolację?

— Może.

— Może będziesz musiał zostać gdzieś na noc, weź mimo wszystko cieplejszy płaszcz; po zapadnięciu zmroku robi się zimno.

Na biurku pod przyciskiem nie zastał żadnego meldunku. Rozczarowany, wezwał Łukasza.

— Ciągłe nic? Żadnych telefonów?

— Nie, szefie. Przyniosłem panu teczkę Elżbiety Coumar.

Maigret przerzucił ją na stojąco, nie znajdując nic poza tym, co mu już powiedział Lognon.

— Lapointe rozesłał fotografie do gazet.

— Jest tutaj?

— Czeka na pana.

— Poproś go.

Zdjęcia były arcydziełem montażu, do tego stopnia, że patrząc na nie Maigret doznał wstrząsu. Nagle przed oczami pojawił mu się obraz dziewczyny nie taki, jaki zobaczył w świetle elektrycznych latarek na zadeszczonym placu Vintimille, i nie taki, jaki mu mignął na marmurowym stole w Instytucie Medycyny Sądowej; ujrzał ją taką, jaka musiała być poprzedniego dnia, kiedy wieczorem zjawiała się u panny Ireny.

Na Lapoincie fotografie też zrobiły duże wrażenie.

— Co pan o tym sądzi, szefie? — zapytał niepewnym głosem. I po chwili milczenia dodał: — Ładna, prawda?

Nie było to dokładnie to, co chciał powiedzieć i co odpowiadałoby rzeczywistości. Dziewczyna była niewątpliwie ładna, ale miała w sobie coś więcej, coś, co niełatwo przychodziło określić. Fotografowi udało się nawet tchnąć życie w jej oczy, które zdawały się pytać o coś, na co nie sposób znaleźć odpowiedzi.

Na dwóch zdjęciach była tylko w swojej czarnej sukience; na trzecim w płaszczu w brązową kratką; wreszcie na ostatnim w wieczorowej sukni. Można było wyobrazić ją sobie na ulicach Paryża, wmieszaną w tłum podobnych do niej dziewcząt zatrzymujących się na chwilę przed wystawami sklepów, a później spieszących znowu Bóg wie dokąd.

Miała ojca, matkę, później, w szkole, koleżanki i kolegów. Potem ludzie, kobiety i mężczyźni, znali ją jako dziewczynę. Rozmawiała z nimi. Zwracali się do niej po imieniu.

A teraz, kiedy nie żyła, zdawało się, że wszyscy o niej zapomnieli, nikt się o nią nie martwił, zupełnie jakby nigdy nie istniała.

— Bardzo było trudno?

— Co?

— Znaleźć modelkę.

— Nie, tylko to dość krępujące. Obiegło mnie chyba ze dwanaście i kiedy im pokazałem suknie, wszystkie chciały je przymierzać.

— Przy tobie?

— Są przyzwyczajone.

Dzielny Lapointe po dwóch latach pracy w policji śledczej potrafił się jeszcze czerwienić!

— Prześlij zdjęcia naszym oddziałom na prowincji.

— Pomyślałem o tym i pozwoliłem sobie je wysłać nie czekając na pańskie instrukcje.

— Świetnie. Rozesłałeś je także do komisariatów?

— Pół godziny temu.

— Połącz mnie z Lognonem.

— Dzwonić na dwójkę?

— Nie. Do domu.

W chwilę potem w słuchawce rozległ się głos:

— Słucham, inspektor Lognon.

— Tu Maigret.

— Poznaję.

— Kazałem wysłać zdjęcia do pańskiego biura, za godzinę lub dwie ukażą się w gazetach.

— Chce pan, abym ponowił swój obchód?

Maigret byłby w nie lada kłopotcie, gdyby mu ktoś kazał wyjaśnić, dlaczego nie wierzył, aby to mogło dać jakieś wyniki. Wizyta u panny Ireny, pochodzenie wieczorowej sukni, godzina, w której dokonano zbrodni — wszystko zdawało się wskazywać na jakiś związek z dzielnicą nocnych lokali.

Cóż innego mogło skłonić nieznaną do biegania o dziewiątej w poszukiwaniu eleganckiej sukni, jak nie zamiar wybrania się do lokalu, w którym obowiązują stroje wieczorowe?

Pora, o której rozpoczynają się przedstawienia w teatrach, minęła, a poza tym — z wyjątkiem Opery i spektakli premierowych — stroje są dowolne.

— Na wszelki wypadek, niech pan spróbuje. Proszę zwrócić uwagę specjalnie na nocne taksówki.

Maigret odłożył słuchawkę. Lapointe stał jeszcze ciągle, czekając na rozkazy, ale komisarz nie miał pojęcia, co dalej robić. Również na wszelki wypadek zadzwonił na ulicę Douai.

— Panna Irena?

— Tak, to ja.

— Znalazła pani adres?

— Ach, to pan... Nie! Szukałam wszędzie. Musiałam wyrzucić ten świstek albo zapisałam na mm miarę, którejś klientki. Ale przypomniałam sobie, jak miała na — imię. Jestem prawie pewna, że Ludwika. Nazwisko zaczynało się także na L. coś tam... Jakby La Montagne czy La Bruyere... Oczywiście nie tak, ale jakoś podobnie...

— Nie zauważyła pani, czy wśród drobiazgów, które przekładała ze swojej torebki do tej srebrnej był dowód osobisty?

— Nie.

— A jakieś klucze?

— Chwileczkę! Zdaje się, że klucz widziałam. To nie był pęk, ale jeden mały miedziany kluczyk.

Usłyszał, jak woła:

— Wiwiano! Pozwól na chwilę...

Nie mógł zrozumieć, co mówiła do swojej niewolnicy (czy podopiecznej).

— Wiwiana też ma wrażenie, że zauważyła klucz — potwierdziła.

— Płaski kluczyk?

— Tak, wie pan, taki jak większość tych, które się teraz robi.

— Pieniądzy nie było?

— Kilka zwiniętych banknotów. To także pamiętam. Niewiele. Może dwa czy trzy. Po sto franków. Pomyślałam sobie, że daleko z tym nie zajędzie.

— Nic więcej?

— Nie. Jestem pewna, że to wszystko.

Zapukano do drzwi. Był to Janvier, który przyszedł przed chwilą. Zobaczywszy leżące na biurku zdjęcia, wstrząsnął się, tak samo jak Maigret.

— Znalazł pan jej fotografie? — zdziwił się. Zmarszczywszy brwi, przyjrzał im się bliżej.

— To ci z góry to zmajstrowali? — W końcu szepnął: — Interesująca dziewczyna, prawda?

W dalszym ciągu nie wiedzieli o niej nic, prócz tego, że nie znał jej nikt, z wyjątkiem właścicielki sklepu z sukniami.

— Co teraz robimy?

Maigret mógł tylko wzruszyć ramionami i odpowiedzieć:

— Czekamy!

ROZDZIAŁ TRZECI

Służąca, która nie umie telefonować, i wielka dama z ulicy Clichy.

Maigret, nieco nachmurzony i trochę zawiedziony, siedział w biurze aż do wieczora. O siódmej wszedł do autobusu, aby wrócić do domu na bulwar Richard–Lenoir. Na okrągłym stoliku leżała gazeta otwarta na stronie z fotografią nieznaną; w notatce z pewnością napisano, że sprawą zajmuje się komisarz Maigret.

Zona nie wypytywała go jednak o nic. Nie próbowała także zabawić go rozmową; w pewnym momencie, gdy kończyli już obiad i zabierali się do deseru, spojrzawszy na nią przelotnie zauważył ze zdziwieniem, że jest równie zatroskana jak on. Nie zastanawiał się, czy ona także myślała o tym samym. Później usiadł w fotelu i zapaliwszy fajkę przebiegł oczyma dziennik; pani Maigret zbierała ze stołu i myła naczynia. Dopiero gdy usiadła naprzeciw niego, z koszykiem pełnym pończoch i skarpetek do cerowania, zerknął na nią ukradkiem raz i drugi i obojętnie, jakby nie przywiązywał do tego żadnej wagi, rzekł półgłosem:

— Zastanawiam się, w jakich wypadkach młoda dziewczyna na może odczuwać palącą potrzebę posiadania wieczorowej sukni?

Skąd wiedział, że ona także cały czas nad tym medytowała? Ale mógłby przysiąc, sądząc po leciutkim westchnieniu ulgi, z jaką powitała jego pytanie.

— Nad czym tu się zastanawiać? — powiedziała.

— Co masz na myśli?

— Że na przykład mężczyźni nie przyszłoby do głowy włożyć smoking czy frak bez określonego celu. Z dziewczyną to co innego. Kiedy miałam trzynaście lat, spędzałam długie godziny, dopasowując sobie ukradkiem starą wieczorową suknię, którą matka już wyrzuciła.

Spojrzał na nią zdziwiony, jakby nagle odkrył nie znany rys charakteru swojej towarzyszkii życia.

— Czasami, wieczorem, kiedy wszyscy myśleli, że śpię, wstawałam, mierzyłam ją i podziwiałam siebie przed lustrem. A raz, gdy oboje rodzice wyszli, włożyłam tę suknię, mamine buty, o wiele na mnie za duże, i poszłam aż do rogu ulicy.

Siedział chwilę w milczeniu, nie widząc, że zaczerwieniła się pod wpływem tych zwierzeń.

— Miałaś trzynaście lat — powiedział wreszcie.

— Jedną z moich ciotek, ciotka Cecylia — nie znałeś jej, ale często ci o niej opowiadałam — ta, która przez kilka lat była bardzo zamożna, póki jej mąż z dnia na dzień nie stracił wszystkiego, często zamykała się w swoim pokoju, czesała się godzinami i stroiła, jakby miała iść do Opery. Na pukanie odpowiadała, że ma migrenę. Pewnego dnia zajrzałam przez dziurkę od klucza i odkryłam prawdę. Podziwiała się w lustrze wiszącym na drzwiach szafy i z uśmiechem bawiła się wachlarzem.

— To było dawno temu.

— Myślisz, że kobiety się zmieniły?

— Trzeba mieć jakiś poważniejszy powód, aby z dwustoma czy trzystoma frankami przy duszy lecieć o dziesiątej wieczór do „Panny Ireny”, żądać wieczorowej sukni, przebierać się w nią natychmiast i wychodzić na deszcz.

— Chcę tylko powiedzieć, że niekoniecznie musi to być powód, który mężczyzna uważałby za poważny.

Rozumiał, co miała na myśli, ale nie był przekonany.

— Chce ci się spać?

Skinął głową. Położyli się wcześniej.

Ranek był wietrzny, po niebie pędziły gradowe chmury i pani Maigret kazała mu wziąć parasol. W biurze mało brakowało, a byłby nie usłyszał telefonu. Właśnie chciał wyjść, aby złożyć raport, kiedy rozległ się dzwonek. Jednym skokiem zawrócił od drzwi.

— Halo. Komisarz Maigret.

— Ktoś, kto nie chce podać swojego nazwiska, pragnie mówić bezpośrednio z panem — oznajmił funkcjonariusz obsługujący centralkę.

— Proszę połączyć.

Z aparatu rozległ się głos tak krzykliwy i ostry, że wprawiał w drżenie membranę słuchawki, głos osoby nie przyzwyczajonej do rozmów telefonicznych.

— Czy to komisarz Maigret?

— Tak, to ja. Kto mówi?

Cisza.

— Halo! Słucham.

— Mogę panu coś powiedzieć o tej dziewczynie, którą zabili.

— Tej z placu Vintimille?

Znowu cisza. Maigret zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jest dziecko.

— Proszę mówić. Pani ją znała?

— Tak. Wiem, gdzie ona mieszkała.

Był przekonany, że długie przerwy między zdaniami, które robiła jego rozmówczyni, nie wynikały z wahania, ale z wrażeń, że rozmawia przez telefon. Zamiast zwyczajnie mówić, krzyczała i zanadto przybliżała usta do tuby. Gdzieś niedaleko grało radio. Dosłyszał też płacz niemowlęcia.

— Gdzie to jest?

— Ulica Clichy 113 bis.

— Kim pani jest?

— Jeśli pan potrzebuje informacji, wystarczy tylko zapytać tej starej z drugiego piętra, wołają ją pani Crémieux.

Posłyszał jakiś inny głos, który wołał:

— Róża! Róża! Co ty tam...

Potem niemal natychmiast odłożono słuchawkę.

W biurze szefa spędził tylko kilka minut, a ponieważ Janvier właśnie się zjawił, zabrał go ze sobą.

Cały poprzedni dzień inspektor zmarnował na bezowocną lataninę po mieście. Lognon, który zajmował się nocnymi lokalami i kierowcami taksówek, nie dawał znaku życia.

— Sprawia wrażenie młodej służącej, która dopiero niedawno przyjechała ze wsi — powiedział Maigret do Janviera. — Ma specyficzny akcent, tylko zastanawiam się jaki.

Przy ulicy Clichy 113 bis stała zwykła czynszowa kamienica, jakich wiele znajdowało się w tej dzielnicy. Wstąpili najpierw do dozorczyń; była to kobieta około czterdziestki, powitała ich nieufnym spojrzeniem.

— Policja śledcza — oznajmił Maigret pokazując swój 'znaczek.

— Czego panowie chcą?

— Mieszka tu niejaka pani Crémieux?

— Drugie piętro na lewo.

— Jest w domu?

— O ile nie wyszła coś kupić. Nie widziałam, żeby przechodziła.

— Mieszka sama?

Zdawało się, że dozorczyń ma niezupełnie czyste sumienie.

— Sama i nie sama.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Od czasu do czasu ma kogoś u siebie.

— Kogoś z rodziny?

— Nie. A zresztą dlaczego miałabym robić jakieś tajemnice? Niech sobie sama radzi. Bierze sobie czasem lokatorkę.

— Tylko na jakiś czas?

— Wolałaby, oczywiście, mieć kogoś na stałe, ale przy jej usposobieniu każda tylko patrzy, jakby umknąć. Ta ostatnia była chyba piąta czy szósta.

— Czemu pani nie zgłosiła tego od razu?

— Bo za pierwszym razem kiedy wzięła sobie jakąś sprzedawczynię z galerii obrazów, prosiła żeby mówić, że to jej siostrzenica.

— Dała pani coś za to? Dozorczyni wzruszyła ramionami.

— Po pierwsze, — właściciel nie — pozwala podnajmować mieszkań. Po drugie, kiedy odstępuje się komuś pokój, trzeba to zgłosić na policji i wypełnić papiery. A nie sądzę, żeby podawała te dochody w swoich zeznaniach podatkowych.

— I dlatego nie dała nam pani znać?

Zrozumiała, do czego odnosi się ta aluzja. Zresztą wczorajsza gazeta leżała jeszcze na krześle, otwarta na stronicę z fotografią dziewczyny.

— Pani ją znała?

— To ta ostatnia.

— Co ostatnia?

— Ostatnia lokatorka. Ostatnia siostrzenica, jakby powiedziała stara.

— Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

— Nie pamiętam. Nie zwróciłam uwagi.

— Wie pani, jak się nazywała?

— Pani Crémieux wołała na mąż Ludwika. Ponieważ przez cały czas jak tu mieszkała, nie przychodziła do niej żadna poczta, nie znam jej nazwiska. Mówiłam panu, że nie miałam obowiązku wiedzieć, że to jest lokatorka. Luizie mają prawo przyjmować u siebie kogoś z rodziny. A teraz przez to wszystko mogę stracić miejsce. Pewnie będzie o tym w gazetach?

— Być może. Co to była za dziewczyna?

— Ona? Zupełnie nijakie stworzenie; czasami, kiedy przechodziła obok mojej budki, przypominało jej się, że powinna kiwnąć głową, ale nigdy nie zadała sobie trudu, żeby się do mnie odezwać.

— Długo tu mieszkała?

Janvier notował sobie wszystko; robiło to wrażenie na dozorczyni, która namyślała się chwilę nad każdym zdaniem.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, zjawiła się tu przed Nowym Rokiem.

— Miała bagaże?

— Tylko niebieską walizeczkę.

— Skąd znała panią Crémieux?

— Powinna była wiedzieć, że to się źle skończy. Po raz pierwszy dałam się tak otumanić, ale przysięgam panu, że cokolwiek się zdarzy, nigdy się to już nie powtórzy. Pani Crémieux mieszkała tu za życia męża, wicedyrektora banku. Byli tu, zanim ja nastałam.

— Kiedy on umarł?

— Pięć albo sześć lat temu. Nie mieli dzieci. Zaczęła się skarżyć, jakie to okropne mieszkać samej w wielkim mieście. Później mówiła o pieniądzach, o swojej rencie, która się nie zmieniała, a życie stale drożało.

— Czy jest bogata?

— Jeszcze jak. Któregoś dnia przyznała mi się, że ma dwie kamienice, gdzieś w dwudziestej dzielnicy. Kiedy po raz pierwszy podnajęła pokój, usiłowała mi wmówić, że to krewna z prowincji, ale prędko domyśliłam się, jak to jest naprawdę, i poszłam do niej. Wtedy

właśnie zaproponowała mi czwartą część tego, co jej tamta płaciła, a ja byłam na tyle głupia, że się zgodziłam. To prawda, że jej mieszkanie jest za duże na samotną osobę.

— Dawała ogłoszenia do gazet?

— Tak. Bez adresu, tylko na telefon.

— Z Jakiego środowiska wywodziły się jej lokatorki?

— Trudno powiedzieć. Prawie zawsze z dobrego. Były to pracujące dziewczęta, zadowolone, że mają większy pokój niż w — hotelu i za tę samą cenę albo nawet taniej. Tylko raz trafiła się dziewczyna, która wyglądała tak samo przyzwoicie jak inne, ale w nocy wstawiała i wpuszczała mężczyzn. Nie trwało to dłużej niż dwa dni.

— Niech mi pani opowie o ostatniej lokatorce.

— Co pan chce wiedzieć?

— Wszystko.

Dozorczyzni odruchowo spojrzęła na fotografię w gazecie.

— Już panu mówiłam: widziałam ją tylko, jak przechodziła. Wychodziła rano, o dziewiątej albo o wpół do dziesiątej.

— Nie wie pani, gdzie pracowała?

— Nie.

— Przychodziła na obiad?

— Pani Crémieux nie pozwalała jej gotować w pokoju.

— A kiedy wracała?

— Wieczorem. Czasem o siódmej, czasem około dziesiątej lub jedenastej.

— Często wychodziła' gdzieś się rozerwać? Bywali u niej jacyś koledzy albo przyjaciele?

— Nigdy nikt o nią nie pytał.

— Widziała ją pani kiedy w wieczorowej sukni?

Dozorczyzni pokręciła przecząco głową.

— Pan rozumie, to była dziewczyna, jakich spotyka się mnóstwo, i zupełnie nie zwracałam na nią uwagi. A poza tym podejrzewałam, że to długo nie potrwa.

— Dlaczego?

— Powiedziałam już. Stara chętnie wynajmuje pokój, ale nie chce, żeby jej to w czymkolwiek przeszkadzało. Ma zwyczaj kłaść się o wpół do jedenastej i jeśli pech chce, że lokatorka wróci później, czeka ją awantura. W gruncie rzeczy jej zależy nie tyle na lokatorze, ile na kimś do towarzystwa, kto by grał z nią w karty.

Dozorczyzni nie mogła zrozumieć uśmiechu Maigreta, któremu przypomniła się sprzedawczyni sukien z ulicy Douai. Tamta także przyjmowała dziewczęta, które zeszły z prostej drogi. Może robiła to z dobroci serca, może też broniła się przed samotnością, a ponieważ zawdzięczały jej wszystko, stawały się na jakiś czas kimś w rodzaju niewolnic.

Pani Crémieux brała lokatorki. W gruncie rzeczy wychodziło niemal na jedno. Ileż ich było w Paryżu, tych starzejących się kobiet lub starych panien, które w ten sposób usiłowały zapewnić sobie towarzystwo jakiejś młodej i pogodnej istoty.

— Gdybym mogła oddać te nędzne grosze, które z tego miałam, i uniknąć zwolnienia...

— W sumie, nie wie pani kim ona była, skąd się wzięła, czym się zajmowała i u kogo bywała?...

— Nie.

— Nie lubiła jej pani?

— Nie lubię ludzi, którzy nie mają więcej niż ja, a udają Bóg wie jakich ważnych.

— Myśli pani, że ona była biedna?

— Widywałam ją zawsze w tej samej sukience i w tym samym płaszczu.

— Czy w kamienicy są służące?

— Dlaczego pan o to pyta? Są trzy. Jedna u tych z pierwszego piętra, później ta z drugiego po prawej, wreszcie...

— Czy któraś z nich jest młoda, może świeżo przybyła ze wsi?

— Ma pan pewnie na myśli Różę?

— Która to?

— Ta z drugiego. Państwo Lacher mieli już dwoje dzieci. Dwa miesiące temu pani Lacher urodziła trzecie i ponieważ nie mogła jakoś przyjść do siebie, zgodziła młodą dziewczynę z Normandii.

— Mają telefon?

— Tak. On ma dobrą posadę w jakimś towarzystwie ubezpieczeniowym. Niedawno kupili samochód.

— Dziękuję pani.

— Gdyby to było możliwe, żeby właścicielka nic dowiedziała się...

— Jeszcze jedno. Czy wczoraj, gdy zobaczyła pani w gazecie fotografię tej dziewczyny, poznała ją pani?

Zawahała się na chwilę i skłamała.

— Nie miałam pewności. Wie pan, to pierwsze zdjęcie w gazecie...

— Czy pani Crémieux była u pani?

Zaczerwieniła się.

— Wstąpiła wracając ze sprawunków. Powiedziała mi tak: „Policji płacą wystarczająco dobrze, aby ludzie nie próbowali jej wyręczać”. Zrozumiałam. Jak zobaczyłam tę drugą fotografię, tę tutaj, zastanawiałam się, czy do was nie zadzwonić, i w gruncie rzeczy, rozważywszy — wszystko dobrze, jestem zadowolona, że panowie przyszl, naprawdę ciężki kamień spadł mi z serca.

W budynku była winda. Maigret i Janvier wjechali na drugie piętro. Spoza drzwi po prawej dolatywały krzyki dzieci, potem głos, który Maigret pamiętał, zawołał:

— Janek!... Janek!... Daj siostrzyczce spokój!...

Komisarz zadzwonił do drzwi na lewo. Dały się słyszeć lekkie, skradające się kroki. Ktoś zapytał przez drzwi:

— Kto tam?

— Pani Crémieux?

— Czego pan chce?

— Policja.

Po tamtej stronie zapanowała dość długa cisza, po czym do uszu komisarza doleciał szept:

— Chwileczkę...

Znów kroki; z pewnością poszła, aby się nieco ogarnąć. Gdy wracała, odgłos kroków był już zupełnie inny, widocznie zmieniła ranne pantofle na twarde obuwie. Otworzyła niechętnie, spoglądając na przybyłych małymi, świdrującymi oczkami.

— Niech panowie wejda. Jeszcze nie skończyłam sprzątać. Mimo to jednak była w czarnej dość eleganckiej sukni i starannie uczesana. Mogła mieć sześćdziesiąt pięć albo siedemdziesiąt lat; była drobna, szczupła, obdarzona zadziwiającym wigorem.

— Ma pan jakąś legitymację?

Maigret pokazał swój znaczek, który obejrzała z uwagą.

— Czy to pan jest komisarzem Maigret?

Wprowadziła ich do salonu dość dużego, ale do tego stopnia zagraconego meblami i bibelotami, że ledwie można się było w nim poruszać.

— Niech panowie spoczna. Czego panowie sobie życzą?

Usiadła z godnością, nie mogąc jednak opanować nerwowego zaciskania palców.

— Przychodzimy w sprawie pani lokatorki.

— Nie mam żadnej lokatorki. Jeśli zdarzy mi się kogoś przyjąć i ofiarować mu nocleg...

— Wiemy wszystko, proszę pani.

Nie spieszyła się, ale spojrzała przenikliwie na komisarza.

- Wszystko o czym.
- O wszystkim. Nie jesteśmy z ministerstwa finansów i to, co pisze pani w swoich zeznaniach podatkowych, nic nas nie obchodzi.
- W pokoju nie było żadnej gazety. Maigret wyciągnął z kieszeni jedno ze zdjęć nieznajomej.
- Pani ją poznaje?
- Mieszkała ze mną przez kilka dni.
- Dni?
- Powiedzmy tygodni.
- Powiedzmy raczej dwa i pół miesiąca, prawda?
- Możliwe. W moim wieku czas liczy się tak niewiele! Nie ma pan pojęcia, jak dni szybko uciekają.
- Jak się nazywała?
- Ludwika Laboine.
- Tak było napisane w dowodzie?
- Nie widziałam go na oczy. Tak mi podała, kiedy się tutaj zjawiała.
- A więc pani nie wie, czy tak się naprawdę nazywała?
- Nie miałam żadnego powodu, aby coś podejrzewać.
- Czy przyszła tutaj dlatego, że przeczytała pani ogłoszenie?
- Dozorczyni panu mówiła?
- To nieważne, proszę pani. Nie traćmy czasu. I proszę pamiętać, że to ja zadaję pytania.
- Doskonale — odparła z godnością. — Słucham pana.
- Czy Ludwika Laboine zjawiała się na pani ogłoszenie?
- Zatelefonowała do mnie, żeby się dowiedzieć o cenę. Pytała, czy nie mogłabym trochę opuścić; wtedy poradziłam jej, żeby przyszła i porozmawiała ze mną osobiście.
- Zgodziła się pani na zniżkę?
- Tak.
- Dlaczego?
- Bo zawsze daję się na to nabrać.
- Na co?
- One wszystkie na początku wyglądają bardzo porządnie, są potulne i uprzedzająco grzeczne. Spytałam ją, czy często wychodzi wieczorami; odpowiedziała, że nie.
- Wie pani, gdzie ona pracowała?
- Zdaje się, że w biurze, ale nie wiem, w jakim. Dopiero po kilka dniach zrozumiałam, co to było za ziółko.
- Ziółko?
- Okropnie skryta, z tych, co to jak sobie postanowią nie otwierać ust...
- Nic pani o niej nie wie? W ogóle z panią nie rozmawiała?
- Jak najmniej. Zachowywała się, jakby mieszkała w hotelu. Rano ubierała się i wychodziła, zadowolając się zdawkowym „dzień dobry”, kiedy mnie spotykała.
- Wychodziła zawsze o jednej porze?
- O właśnie. To jest to, co mnie zaskoczyło. Z początku przez dwa czy trzy dni wychodziła o wpół do dziewiątej; wywnioskowałam z tego, że zaczyna pracę o dziewiątej. Potem przez kilka dni z rzędu zniknęła dopiero kwadrans po dziewiątej i wtedy spytałam, czy zmieniła pracę.
- I co pani odpowiedziała?
- Nic. To było w jej stylu. Jak nie chciała odpowiedzieć, udawała, że nie słyszy. Wieczorem starała się mnie unikać.
- Czy aby dostać się do swojego pokoju, musiała przechodzić przez salon?

— Tak. Najczęściej przesiaduję tutaj. Proponowałam jej, aby sobie wzięła krzeselko i napiła się ze mną kawy lub ziół. Jeden jedyny raz zgodziła się dotrzymać mi towarzystwa i pamiętam, że przez godzinę powiedziała może pięć zdań.

— O czym panie rozmawiały?

— O wszystkim. Usiłowałam się czegoś dowiedzieć.

— Czego?

— Kim była, skąd pochodziła, gdzie dotychczas mieszkała.

— I. nic pani z niej nie wyciągnęła?

— Wiem tylko, że знаła Południe. Opowiadałam jej o Nicei, gdzie co roku spędzaliśmy z mężem dwa tygodnie, — zauważyłam, że ona też tam musiała być. Kiedy ją zapytałam o rodziców, zrobiła minę kogoś nieobecnego. Żeby pan widział te miny, też straciłby pan cierpliwość.

— Gdzie jadała?

— W zasadzie na mieście. Nie pozwalałam gotować w pokoju ze względu na niebezpieczeństwo pożaru. Z tymi ich prymusami nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić, nie mówiąc o tym, że mam tutaj same antyki dużej wartości, które odziedziczyłam po rodzinie. Wszystkie jej wybiegi nie zdały się na nic, i tak znajdowałam w jej pokoju okruszyny chleba, a raz usiłowała spalić jakieś zatłuszczone papiery, na pewno po wędlinie.

— Czy wieczory spędzała sama?

— Najczęściej. Wychodziła dwa, trzy razy w tygodniu.

— Przebierała się przed wyjściem?

— W co mogła się przebierać, skoro miała wszystkiego jedną sukienkę i jeden płaszcz, które musiały starczyć na każdą okazję? W zeszłym miesiącu stało się to, co przewidywałam.

— Co pani przewidywała?

— Że pewnego dnia nie będzie miała z czego zapłacić za komorne.

— Nie zapłaciła?

— Dała mi sto franków zaliczki, obiecując resztę pod koniec tygodnia. Przy końcu tygodnia próbowała mnie unikać. Zagroziłam jej drogę. Powiedziała, że za dzień lub dwa będzie miała pieniądze. Niech pan nie sądzi, że jestem skąpa i myślę tylko o pieniądzach. Oczywiście, potrzebuję ich tak samo jak wszyscy. I gdyby ona zachowywała się jak normalny człowiek, zdobyłabym się na większą cierpliwość.

— Wymówiła jej pani?

— Trzy dni temu, w przeddzień zniknięcia. Po prostu powiadomiłam ją, że oczekuję przyjazdu krewnej z prowincji i potrzebny mi jest pokój.

— Jak na to zareagowała?

— Powiedziała tylko: „dobrze!”.

— Zechce nam pani pokazać mieszkanie?

Stara dama wstała, ciągle pełna godności.

— Proszę tędy. Przekona się pan, że nigdzie nie znalazłaby takiego pokoju jak ten.

Istotnie, pokój był obszerny, z dużymi oknami. Podobnie jak salon, utrzymany w stylu dziewiętnastowiecznym. Znajdowało się tu solidne mahoniowe łóżko, a między oknami stało empiryczne biurko, które musiało niewątpliwie służyć samej pani Crêmieux, ale dla którego zabrakło miejsca gdzie indziej. W obu oknach wisiały ciężkie aksamitne kotary, na ścianach wisiały stare rodzinne fotografie w czarnych lub pozłacanych ramach.

— Jedyna mała niedogodność to wspólna łazienka. Zawsze puszczałam ją pierwszą i nigdy nie wchodziłam bez pukania.

— Mam nadzieję, że od czasu jej zniknięcia nic stąd pani nie zabierała?

— Oczywiście, że nie.

— Czy widząc, że ona nie wraca, przejrzała pani jej rzeczy?

— Nie bardzo było co przeglądać. Poszłam tylko sprawdzić, czy je zabrała.

— I były?

— Nie. Może pan sam się przekonać.

Na komodzie leżał grzebień, szczotka do włosów, tani komplet do manicure i pudełeczko pudru popularnej marki. Obok leżały dwie fiołki: w jednej była aspiryna, w drugiej tabletki nasenne.

Maigret wyciągnął szuflady; było w nich kilka sztuk bielizny i owinięte w halkę ze sztucznego jedwabiu żelazko elektryczne.

— A nie mówiłam! — zawołała pani Crémieux.

— Co?

— Uprzedziłam ją też, że nie pozwałam na żadne przepierki i prasowanie. I proszę, co robiła, kiedy wieczorem przesiadywała godzinami w łazience! Pewnie dlatego także zamykała pokój na klucz.

W następnej szufladzie leżał zwykły papier listowy, koperty, dwa czy trzy ołówki i pióro.

W szafie wisiał bawełniany szlafrok, a na dole stała niebieska fibrowa walizka, zamknięta na kluczyk. Ponieważ nie można go było nigdzie znaleźć, Maigret podważył zamek scyzorykiem. Stara podeszła bliżej. Walizka była pusta.

— Nikt nie pytał nigdy o tę dziewczynę?

— Nie.

— A nie miała pani wrażenia, że w czasie pani nieobecności ktoś zakradł się do mieszkania?

— Zauważyłabym to. Wiem doskonale, gdzie co stoi!

— Czy telefonowano do niej?

— Tylko raz.

— Kiedy to było?

— Jakies dwa tygodnie temu. Nie. Więcej. Może miesiąc. Kiedyś wieczorem, gdy siedziała w swoim pokoju, ktoś do niej zadzwonił.

— Mężczyzna?

— Kobieta.

— Czy pamięta pani dokładnie, co mówiła?

— Powiedziała tak: „Zastałam pannę Laboine?” Odpowiedziałam, że chyba tak. Zapukałam do jej pokoju, „Panno Ludwiko, telefon!” „Do mnie?” — zdziwiła się. „Tak, do pani”. „Już idę”. I wtedy odniosłam wrażenie, że płakała.

— Zanim odebrała telefon czy potem?

— Nim wyszła z pokoju.

— Była całkiem ubrana?

— Nie. Była w szlafroku i bez pończoch.

— Słyszała pani, co mówiła?

— Prawie nic... tylko: „Tak... tak... dobrze... tak... być może...” Na końcu Opowiedziała: „Do zobaczenia za chwilę”.

— I wyszła?

— Tak, za jakieś dziesięć minut.

— O której wtedy wróciła?

— W ogóle nie przyszła na noc. Zjawiała się dopiero o szóstej nad ranem. Czekałam na nią, zdecydowana wymówić jej z miejsca. Powiedziała mi, że musiała spędzić noc u chorej kuzynki. Nie wyglądała na kogoś, kto wraca z zabawy. Poszła zaraz do łóżka i przez dwa dni nie wychodziła z pokoju. Zanosila jej jedzenie i kupiłam aspirynę. Skarzyła się, że ma grypę.

Skąd pani Crémieux mogła wiedzieć, że każde jej słowo formowało pewien obraz w umyśle Maigreta, który sprawiał wrażenie, jakby ledwie słuchał? Krok za krokiem odtwarzał sobie życie obu kobiet w tyra ciemnym, zagraconym mieszkaniu. W stosunku do jednej

przynajmniej to było proste miał ją właśnie przed sobą. Trudniej było wyobrazić sobie młodą dziewczynę, jej sposób bycia, głos, gesty, a przede wszystkim to, o czym myślała.

Teraz wiedział już, jak się nazywała, o ile to było jej prawdziwe nazwisko. Wiedział, gdzie przez ostatnie dwa miesiące spała i gdzie spędzała część swoich wieczorów.

Wiedział też, że dwukrotnie w ciągu tego czasu udawała się na ulicę Douai, by wypożyczyć wieczorową suknię. Za pierwszym razem uiściła opłatę. Za drugim miała przy sobie tylko dwieście czy trzysta franków, co ledwie mogło — starczyć na taksówkę albo na skromny posiłek*.

Czy po raz pierwszy odwiedziła pannę Irenę na skutek owego telefonu? To zdawało się mało prawdopodobne. Kiedy wówczas zjawiała się w sklepiku, było jeszcze dość wcześnie.

Poza tym wróciła na ulicę Clichy o szóstej nad ranem, ubrana w swoją zwykłą sukienkę i płaszcz. Nie zdążyłaby więc oddać niebieskiej satynowej sukni pannie Irenie, która wstawiała późno.

Wynikało z tego, że dwa miesiące temu, koło Nowego Roku, nie była jeszcze tak doszczętnie splukana, skoro mogła wynająć pokój. Musiało jej się jednak nie przelewać, gdyż targowała się o cenę. Rano wychodziła mniej więcej o jednej porze, najpierw koło wpół do dziewiątej, później kwadrans po dziewiątej.

Co robiła po całych dniach? A wieczorami, które spędzała poza domem?

Nic nie czytała. W pokoju nie było ani jednej książki, żadnego pisma ilustrowanego. Jeśli szła to tylko wtedy, kiedy musiała sobie naprawić coś z garderoby czy bielizny, gdyż w jednej z szuflad były trzy szpulki nici, napastrzek, nożyczki, beżowy jedwab do pończoch i kilka igieł w małym pudełeczku.

Według tego, co mówił doktor Paul, miała około dwudziestu lat.

— Ostatni raz podnajęłam pokój, przysięgam panu!

— Przypuszczam, że sprzątała go sama?

— Nie sądzi pan chyba, że byłam jej służącą? Jedna z nich próbowała mnie kiedyś tak ustawić, ale proszę mi wierzyć, szybko zrezygnowała.

— Jak spędzała niedziele?

— Rano długo spała. Już w pierwszym tygodniu zauważyłam, że nie chodzi do kościoła. Spytałam, czy jest katoliczką. Odparła, że tak. Rozumie pan, powiedziała tak na odczepnego. Czasami wychodziła z domu dopiero koło pierwszej albo drugiej. Przypuszczam, że do kina. Przypominam sobie, że raz znalazłam w jej pokoju bilet.

— Pamięta pani może, der którego kina?

— Nie zwróciłam uwagi. Bilet był różowy.

— Tylko jeden?

Niespodziewanie Maigret spojrzał na nią ostro i przenikliwie, jakby chciał zapobiec kłamstwu.

— Co było w jej torebce?

— Jakże bym mogła...

— Proszę odpowiadać. Na pewno zdarzało się pani rzucić okiem, kiedy ją gdzieś zostawiła.

— Rzadko ją zostawiała.

— Wystarczyło raz spojrzeć. Widziała pani jej dowód?

— Nie.

— Nie miała?

— W torebce — nie. W każdym razie wtedy go tam nie było. Dopiero tydzień temu trafiła mi się okazja zajrzeć. Zaczynałam coś podejrzać.

— Co mianowicie?

* Starych, tzw. lekkich, franków (przyp. tłum.).

— Gdyby pracowała gdzieś stale, nie brakowałoby jej na komorne. Po raz pierwszy także widziałam, żeby dziewczyna w jej wieku miała tylko jedną sukienkę. No i za nic w świecie nie można z niej było wyciągnąć, kim właściwie jest, skąd pochodzi i gdzie ma rodzinę.

— I co pani przyszło na myśl?

— Że być może uciekła z domu. Albo...

— Albo co?

— Nie wiem. Nie mogłam jej rozgryźć, rozumie pan? Z niektórymi wiadomo od razu, czego się trzymać. Z nią nie. Nie miała żadnego akcentu. Nie wyglądała także na dziewczynę ze wsi. Mam wrażenie, że była wykształcona. Gdyby nie jej zwyczaj nie odpowiadania na to, co się do niej mówiło, i ciągłe unikanie mnie, można by nawet powiedzieć, że była dość dobrze wychowana. Tak, mam wrażenie, że otrzymała staranne wychowanie.

— Co nosiła w torebce?

— Kredkę do ust, puderniczkę, chusteczkę, klucze.

— Jakie klucze?

— Klucz, od pokoju, który ode mnie dostała, i od swojej walizki. Miała tam także zniszczoną portmonetkę i jakieś zdjęcie.

— Mężczyzny czy kobiety?

— Mężczyzny. Ale nic z tego, o czym pan myśli. To była fotografia przynajmniej sprzed piętnastu lat, pożółkła, połamana; mężczyzna około czterdziestki.

— Potrafi go pani opisać?

— Bardzo przystojny, elegancki. Uderzyło mnie, że miał na sobie bardzo jasny garnitur, może płócienny, taki, jaki często widziałam w Nicei. Pomyślałam akurat o Nicei, bo z tyłu za nim widać było palmę.

— Spostrzegła pani jakieś podobieństwo?

— Do niej? Nie. Także mi to przyszło na myśl. Jeśli to jej ojciec, nie była wcale do niego podobna.

— Czy poznałaby go pani, gdyby go pani spotkała?

— Jeśli nie bardzo się zmienił...

— Wspominała jej pani o tym?

— Przyznać się, że widziałam fotografię? Że otwierałam torebkę? Opowiadałam jej tylko o Nicei, o Południu...

— Bądź łaskaw to zabrać, Janvier — powiedział Maigret, wskazując zawartość szuflad, wiszący w szafie szlafrok i niebieską walizkę. Wszystko zmieściło się w niej, ale ponieważ zamek był wyłamany, trzeba było poprosić starą o kawałek sznurka.

— Myśli pan, że będę miała kłopoty?

— Z nami nie.

— A z tymi od podatków?

Maigret wzruszył ramionami i burknął:

— To nas nic nie obchodzi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

*w którym jest mowa o pewnej dziewczynie przesiadującej na ławce
i o pewnej młodej mężatce w nocnym lokalu.*

Przez na wpół uchylone drzwi, których umyślnie nie domknęła, stara dama spostrzegła, że obaj poszli nie do windy ani w stronę schodów, ale skierowali się do mieszkania naprzeciwko. Kiedy stamtąd wyszli, już na schodach, Maigret widząc poruszające się drzwi powiedział krótko:

— Zazdrośnica!

Kiedyś na procesie pewnego człowieka, którego sam postawił przed ławą przysięgłych, jakiś typ, który razem z nim przysłuchiwał się rozprawie, szepnął:

— Zastanawiam się, o czym on myśli?

Maigret odpałił z miejsca:

— O tym, co o nim napiszą w najświeższych gazetach.

Komisarz utrzymywał, że wszyscy zbrodniarze, przynajmniej do chwili ogłoszenia wyroku, stosunkowo mało interesują się popełnioną zbrodnią, prawie w ogóle nie myślą o swoich ofiarach, a przede wszystkim obchodzi ich wrażenie, jakie robią na publiczności. Z dnia na dzień stają się gwiazdami. Oblegają ich — dziennikarze i fotoreporterzy. Często ludzie ustawiają się w ogonku, aby tylko móc ich zobaczyć. Czy można się więc dziwić, że dochodzi w nich do głosu dusza kabotynów?

Wdowa po panu Crêmieux z pewnością nie była zachwycona najściem policji na jej dom. Poza tym Maigret miał specyficzny sposób zadawania pytań, który zupełnie nie pozwalał odpowiadać tak, jakby się chciało. Zmusiło to panią Crêmieux do przyznania się do kilku niezbyt przyjemnych rzeczy.

— Ale przynajmniej prawie godzinę zajmowano się wyłącznie nią, notując każde jej słowo w specjalnym zeszytiku!

I oto już w następnej chwili komisarz dzwonił do mieszkania naprzeciwko i robił ten sam zaszczyt jakiejś nieokrzesej kuchcie.

— Może wypijemy szklaneczkę?

Było już po jedenastej. Maigret i Janvier weszli do narożnego baru i bez słowa wysączyli aperitif, jakby przeżuając w duchu wszystko, czego się przed chwilą dowiedzieli.

Ludwika Laboine przypominała kliszę fotograficzną, zanurzoną w wywoływaczu. Dwa dni temu nie istniała dla nich w ogóle. Potem była profilem, niebieskim kształtem na mokrym bruku placu Vintimille, białym konturem na marmurowym stole w Instytucie Medycyny Sądowej. Teraz miała już imię i nazwisko; obraz zaczynał nabierać ostrości, mimo iż wciąż jeszcze był tylko schematem.

Chlebodawczyni Róży także była nieco urażona, kiedy Maigret zwrócił się do niej:

— Czy mogłaby pani popilnować dzieci, a ja zadam kilka pytań pani służącej?

Róża nie miała jeszcze szesnastu lat i była pełna dziewczęcej świeżości.

— To ty telefonowałaś do mnie dziś rano, prawda?

— Tak, proszę pana.

— Znałaś Ludwikę Laboine?

— Nie wiedziałam, że tak się nazywała.

— Spotykałaś ją na schodach?

— Tak, proszę pana.

— Rozmawiała z tobą?

— Nigdy ze mną nie rozmawiała, ale uśmiechała się do mnie. Zawsze miałam wrażenie, że jest smutna. Przypominała aktorkę filmową.

— Nigdy nie zdarzyło ci się spotkać jej gdzie indziej niż na klatce schodowej?

— Wiele razy.

— Gdzie?

— Na ławeczce, na skwerze Św. Trójcy, dokąd chodziłam z dziećmi niemal codziennie po południu.

— Co tam robiła?

— Nic.

— Może czekała na kogoś?

— Nigdy nie widziałam jej z kimkolwiek.

— Czytała coś?

— Nie. Raz jadła kanapkę. Myśli pan, że ona wiedziała, że umrze?

To było wszystko, czego dowiedzieli się od Róży. Wynikało z tego, że przynajmniej od pewnego czasu dziewczyna nie miała stałego zajęcia. Nie trudiła się, żeby chodzić daleko. Szła kawałek ulicą Clichy i nie opuszczając tej samej dzielnicy, siadała przed kościołem Św. Trójcy. Maigretowi przyszło na myśl zapytać:

— Nigdy nie widziałaś, żeby wchodziła do kościoła?

— Nie, proszę pana.

Komisarz zapłacił, otarł usta i razem z Janvierem wsiadł do małego samochodu. Na Quai des Orfèvres zobaczył od razu :, stojącą w korytarzu szarą postać; poznał Lognona, którego nos był jeszcze bardziej zaczerwieniony niż zwykle.

— Czeka pan na mnie?

— Od godziny.'

— Wygląda pan, jakby się pan w ogóle nie kładł.

— To nie ma znaczenia.

— Proszę, niech pan pozwoli.

Każdy, kto widział Lognona, czekającego na komisarza, był przekonany, że to nie policjant, ale ktoś, kogo wezwano na przesłuchanie, o czym by świadczył ponury i chmurny wygląd. Tym razem Lognon był naprawdę zakatarzony, miał straszną chrypkę i co chwila musiał wyciągać z kieszeni chustkę do nosa. Starał się nie narzekać, miał pełną rezygnacji minę człowieka, który cierpiał przez całe życie i będzie się męczył do końca swoich dni.

Maigret rozsiadł się wygodnie i zaczął nabijać fajkę; jego gość, przycupnąwszy na brzeżku krzesła, nie miał odwagi bąknąć ani słowa.

— Przypuszczam, że ma pan jakieś nowiny?

— Przyszedłem złożyć panu raport.

— Słucham cię, Stary.

Serdeczny ton nie zrobił wrażenia na Fajtłapie, który wietrzył w tym Bóg wie jaką ironię.

— Wczoraj wieczór powtórzyłem wczorajszy obchód jeszcze staranniej. Mniej więcej do trzeciej nad ranem, dokładnie do trzeciej cztery, nie dało to żadnego wyniku.

Nie przestając mówić, wyciągnął z kieszeni kawałek kartki.

— A więc, cztery minuty po trzeciej naprzeciwko nocnego lokalu „Dzwonek” zaczęli taksówkarza nazwiskiem Leon Zirkt, lat 53, zamieszkałego w Levallois-Perret.

Te szczegóły były prawdopodobnie zupełnie zbędne. Inspektorowi zależało widać na stawianiu kropek nad każdym „i”, przez co podkreślał wciąż, że jest tylko podwładnym i nie do niego należy ocena, co jest ważne, a co nie.

Monotonnym głosem ciągnął dalej, nie patrząc na komisarza, który nie mógł powstrzymać cisnącego się na usta uśmiechu.

— Pokazałem mu zdjęcie czy dokładniej zdjęcia; rozpoznał to, na którym ona jest w wieczorowej sukni.

Przerwał na chwilę, jak aktor recytujący swoją kwestię. Nie wiedział jeszcze, że Maigret zidentyfikował zamordowaną oraz jej ostatnie miejsce zamieszkania.

— W nocy z poniedziałku na wtorek Leon Zirkt stał na postoju nieco przed północą naprzeciwko „Romea”, nowego lokalu nocnego przy ulicy Caumartin.

Inspektor opracował wszystko z góry; teraz wyciągnął z kieszeni nowy świstek, tym razem wycinek z, gazety.

— Tej nocy wyjątkowo „Romeo” był zamknięty dla bywalców, gdyż sala została wynajęta na przyjęcie weselne.

Gestem adwokata przedkładającego dokument przewodniczącemu wysokiego trybunału położył wycinek przed Maigretem i wrócił na swoje miejsce.

— Jak pan za chwilę zobaczy, chodzi o ślub niejakiego Marka Santoni, przedstawiciela na Francję włoskiego wermutu znanej matki, z panną Janiną Armenieu z Paryża, bez zawodu. Gości było sporo, gdyż, jak się zdaje, Marco Santoni jest szeroko znany w kręgach ludzi lubiących się bawić.

— To Zirkt podał panu te wszystkie szczegóły?

— Nie. Udałem się do „Romea”. A więc taksówkarz z kilkoma swoimi kolegami po fachu stał na postoju. Zaczynało mżyć. Mniej więcej piętnaście minut po północy jakaś dziewczyna w niebieskiej wieczorowej sukni i w czarnym płaszczu z kapturem wyszła z lokalu i zaczęła iść chodnikiem. Zirkt zaczepił ją, pytając tradycyjnie: „Taksóweczkę?” Ale dziewczyna, potrząsnawszy głową, szła dalej.

— Czy taksówkarz jest pewny, że to była ona?

— Tak. Przy wejściu do „Romea” jest jasna neonowa reklama. Jako człowiek przyzwyczajony do nocnej pracy Zirkt zauważył, że suknia była dość nędzna. — Zresztą stojący przed lokalem naganiacz, niejaki Gaston Rouget, również rozpoznał zdjęcie.

— Domyślałem się, że taksówkarz nie wie, dokąd ona poszła?

Lognon musiał wytrzeć nos. „Nie miał wcale triumfującej miny, przeciwnie, był aż przesadnie skromny, jakby przeproszał za to, iż informacje, które przynosi, są tak skąpe.

— Kilka minut potem z lokalu wyszła jakaś parka i kazała się” zawieźć na plac Etoile. Kiedy Zirkt przejeżdżał przez plac Saint-Augustin, spotkał tam znowu tę dziewczynę, która szła szybko przez plac, kierując się w stronę bulwaru Haussmanna, jak gdyby mieszkała na Champs-Elysées.

— To wszystko?

— Odstawił swoich pasażerów i zdziwił się zobaczywszy ją ponownie na rogu bulwaru Haussmanna i ulicy Saint-Honoré.

Szła ciągle przed siebie. Spojrzał na zegarek, chcąc sprawdzić, ile czasu zabrało jej przebycie tej drogi. Dochodziła pierwsza. Ludwikę Laboine zamordowano około drugiej, a o trzeciej znaleziono ją martwą na placu Vintimille.

Lognon pracował bezbłędnie. A widoczne było, że ma jeszcze coś w zanadrzu. Maigret pojął to, zobaczywszy, że inspektor nie wstaje ze swego miejsca i wyciąga z kieszeni trzeci karteluszek.

— Marco Santoni mieszka przy ulicy de Berri.

— Widział go pan także?

— Nie. Pod koniec bankietu u „Romea” nowożeńcy udali się samolotem do Florencji, gdzie mają spędzić kilka dni. Rozmawiałem z jego służącym, Józefem Ruchon.

Lognon nie miał samochodu do dyspozycji. Z pewnością nie wziął nawet taksówki, wiedząc, że i tak nie uwzględniono by mu tego wydatku. W nocy musiał niewątpliwie przemierzyć te kilometry na piechotę, a rano metrem lub autobusem.

— Przesłuchałem także barmanów z „Fouqueta” na Champs-Elysées i z dwu innych podobnych lokali. Nie udało mi się tylko złapać tego od „Maxima”, który mieszka gdzieś na peryferiach i jeszcze nie było go w pracy.

Kieszeń Fajtlapy zdawała się nie mieć dna. W miarę, jak mówił, wyławiał z niej coraz to inne karteluski, na których miał pozapisywane kolejne fazy swojego śledztwa.

— Santoni ma lat czterdzieści pięć. Jest to przystojny mężczyzna, nieco otyły, bardzo zadbany, chętnie odwiedza kabarety, bary i najwytworniejsze restauracje. Miał wiele kochanek, były to przeważnie modelki i tancerki. Jakies trzy czy cztery miesiące temu, o ile mnie dobrze poinformowano, poznał Janinę Armenieu.

— Modelka?

— Nie. Obracała się w zupełnie innym środowisku. Nie przyznaje się, gdzie ją odkrył.

— Wiek?

— Dwadzieścia dwa lata. Niedługo potem jak poznała Santoniego, zamieszkała w hotelu Waszyngtona przy ulicy o tej samej nazwie. Santoni często ją odwiedzał, a i jej zdarzało się spędzać u niego noce.

— To jego pierwsze małżeństwo?

— Tak.

— Czy służący widział fotografię zamordowanej?

— Pokazałem mu. Utrzymuje, że jej nie zna. Pokazałem ją także trzem barmanom, którzy powiedzieli to samo.

— Czy służący był w domu w nocy z poniedziałku na wtorek?

— Kończył pakowanie rzeczy w związku z wyjazdem młodej pary. Nikt nie dzwonił. Santoni wraz ze swoją świeżo poślubioną małżonką zjawili się o piątej nad ranem, w świetnych humorach, przebrali się i pojechali szybko na lotnisko w Orły.

Znów zaległo milczenie. Za każdym razem Lognon stwarzał w ten sposób pozory, że nie ma już nic więcej do dodania, ale w tym jego milczeniu, w pokorze, jaką tchnęła cała postać, była coś, co kazało Maigretowi domyślać się, że to jeszcze nie koniec.

— Czy pan wie, ile czasu mogło upłynąć od chwili, kiedy dziewczyna weszła do środka, do momentu, gdy Zirkt zaczepił ją przed lokalem?

— Mówiłem panu, że przesłuchałem naganiacza.

— Czy sprawdzano zaproszenia?

— Nie. Jedni je okazywali, inni nie. Naganiacz przypomina sobie, że widział jakąś dziewczynę wchodzącą do lokalu tuż przed północą, kiedy dopiero co zaczęto tańczyć. Właśnie dlatego, że nie wyglądała na stałą „klientkę”, wpuścił ją myśląc, że jest to jakaś przyjaciółka panny młodej.

— Zabawiła więc tam około piętnastu minut?

— Tak. Pytałem barmana.

— Był już na miejscu tak wcześnie?

Lognon odparł po prostu:

— Nie. Poszedłem do niego do domu, koło Porte des Ternes*. Spał jeszcze.

Gdyby tak dodać te wszystkie wędrowniki, dałoby to imponującą liczbę kilometrów. Maigret mimo woli wyobrażał sobie Lognona, jak tłucze się na piechotę po nocy, później o bladym świetle, niczym dźwigająca zbyt wielki dla siebie ciężar mrówka, której jednak nic nie jest w stanie zawrócić z raz obranej drogi.

Niewątpliwie żaden inny inspektor nie potrafiłby tak harować, nie zaniedbując żadnego szczegółu, nie pozostawiając nic przypadkowi, a mimo to biedny Lognon, którego jedyną ambicją od dwudziestu lat było znaleźć się kiedyś na Quai des Orfèvres, nigdy się tam nie dostanie.

Tylko po części była to wina jego usposobienia. Polegało to również na tym, że brakowało mu wymaganego wykształcenia podstawowego i że obcinał się na wszystkich egzaminach.

— Co powiedział barman?

Jeszcze jedna karteczka zawierająca nazwisko, adres, kilka informacji. Lognon nie musiał nawet na nią patrzeć — wykuł wszystko na pamięć.

* Odległe przedmieście Paryża (przyp. tłum.).

— Zauważył, że najpierw zatrzymała się koło wejścia. Kierownik sali zbliżył się i półgłosem coś do niej powiedział. Pokręciła przecząco głową. Niewątpliwie zapytał, przy którym stoliku jej oczekują. Potem wmieszała się w tłum. Mnóstwo osób stało. Tańczono nie tylko na parkiecie, ale i pomiędzy stolikami.

— Czy rozmawiała z panną młodą?

— Musiała trochę poczekać, bo panna młoda również tańczyła. Wreszcie dziewczynie udało się do niej podejść i rozmawiały sporą chwilę. Dwukrotnie Santoni, zniecierpliwiony, usiłował im przerwać.

— Czy panna młoda wręczała jej coś?

— ‘Spytałem o to. Barman nie umiał odpowiedzieć.

— Czy wyglądało, że się kłóciły?

— Zdaje się, że pani Santoni odnosiła się do niej z rezerwą, a nawet całkiem chłodno i kilkakrotnie kręciła przecząco głową. Potem dziewczyna w niebieskiej sukni zniknęła barmanowi z oczu.

— Myślę, że nie przesłuchiwał pan również i kierownika sali? — zapytał komisarz.

Zaczynało go to już bawić.

— Mieszka przy ulicy Caulaincourt, na samym końcu. On także jeszcze spał.

A więc Lognon zdążył być również i tam!

— Potwierdził to, co zeznał barman. Podszedł do dziewczyny pytając, kogo tu szuka. Odparła, że jest przyjaciółką panny młodej i chciałyby tylko zamienić z nią kilka słów.

Tym razem Lognon wstał, co miało oznaczać, że powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia.

— Odwaliłeś dobrą robotę, stary.

— Zrobiłem to, co do mnie należało.

— A teraz, niech się pan kładzie do łóżka. Trzeba trochę zadbać o siebie.

— To zwykły katar.

— Jeśli pan nie będzie uważał, z kataru może się zrobić bronchit.

— Każdej zimy przechodzę bronchit i nigdy z tego powodu nie leżę w łóżku.

Na tym właśnie polegał cały kłopot z Lognonem. Przed chwilą, dosłownie w pocie czoła, zebrał trochę prawdopodobnie cennych informacji. Gdyby dostarczył je obojętnie który z inspektorów, Maigret niezwłocznie wysłałby kilku innych po ciepłym jeszcze tropie, aby uzyskać możliwie najwyraźniejszy obraz wypadków. Jeden człowiek nie jest w stanie zrobić wszystkiego.

Otóż gdyby komisarz tak właśnie postąpił, Fajtłapa byłby przekonany, że odbiera mu chleb. Padał ze zmęczenia, chrypiał, kompletnie rozłożony przez katar. Przez ostatnie trzy noce spał w sumie najwyżej siedem, osiem godzin. I mimo wszystko nie można mu było zabronić dalszego działania. A Fajtłapa i tak uważał się za pokrzywdzoną przez los ofiarę, której pozostawia się zawsze najczarniejszą robotę, a w ostatniej chwili pozbawia wieńczących sukces zaszczytów.

— Jakie pan ma plany?

— No, jeśli pan ma zamiar wyznaczyć kogoś innego...

— Skądże znowu! Jeżeli coś takiego mówiłem, to tylko ze względu na pana, żeby pan mógł sobie trochę odpocząć.

— Będę miał dość czasu na odpoczynek, jak mnie przeniosą na emeryturę. Nie zdążyłem jeszcze być ani w merostwie ósemki, gdzie zawarto ślub, ani w hotelu Waszyngtona, w którym obecna pani Santoni przebywała, zanim wyszła za mąż. Przypuszczam, że tam uda mi się zdobyć jej poprzedni adres, dzięki czemu dojdę z kolei, gdzie mieszkała zamordowana.

— Przez dwa ostatnie miesiące przy ulicy Clichy, u niejakiej pani Crémieux, wdowy, która wynajęła jej pokój u siebie.

Lognon zagryzł wargi.

— Nie wiemy, co robiła przedtem. Wdowa Crémieux podała, że dziewczyna nazywała się Ludwika Laboine, ale nie widziała na oczy jej dowodu osobistego.

— Czy mogę prowadzić dalej śledztwo?

Na cóż by się zdały protesty?

— Oczywiście, jeśli pan ma ochotę. Proszę się jednak nie przemęczać.

— Dziękuję panu.

Maigret siedział jakiś czas, wpatrzony tępo w krzesło, na którym przed chwilą tkwił Fajtlapa.

Na kliszy wyobrażającej Ludwikę Laboine pojawiały się ciągle jakieś nowe szczegóły, ale cały obraz był daleki od wyrazistości.

Czy przez ostatnie dwa miesiące, kiedy nie miała stałej pracy, zajmowała się poszukiwaniem Janiny Armenieu?

Możliwe, na przykład, że przypadkiem zobaczyła w gazecie notatkę o ślubie z Markiem Santoni i o przyjęciu, jakie z tej okazji miało się odbyć w „Romeo”.

W takim razie musiała przeczytać dziennik późno po południu, bo było już po dziewiątej, kiedy przybiegła do „Panny Ireny” po wieczorową suknię. Ze sklepiku przy ulicy Douai wyszła koło dziesiątej.

Co mogła robić między dziesiątą a dwunastą w nocy? Z ulicy Douai na ulicę Caumartin idzie się najwyżej dwadzieścia minut. Czy to możliwe, żeby przez resztę czasu błąkała się po mieście niezdecydowana?

Na biurku leżał jeszcze raport doktora Paula. Maigret przebiegł pismo oczyma. W raporcie podkreślono, że w żołądku zamordowanej znaleziono pewną ilość alkoholu.

A jednak, jeśli wierzyć kierownikowi sali, dziewczyna nie miała okazji, aby wypić cokolwiek w czasie swojej dość krótkotrwałej wizyty u „Romea”.

Wobec tego albo piła przedtem, chcąc sobie dodać odwagi, albo potem, w czasie, jaki upłynął od chwili, gdy wyszła z przyjęcia, a godziną, w której znaleziono ją martwą na placu Vintimille.

Maigret otworzył drzwi do pokoju inspektorów i zawołał Janviera.

— Mam dla ciebie robotę. Pójdiesz na ulicę Douai. Stamtąd udasz się piechotą na ulicę Caumartin, wstępując po drodze do wszystkich barów i kawiarenek, wszędzie pokazując fotografię.

— Tę, na której ona jest w wieczorowej sukni?

— Tak. Spróbuj się dowiedzieć, czy w poniedziałek, późnym wieczorem, między godziną dziesiątą a dwunastą w nocy, ktoś widział może tę dziewczynę.

W chwili, gdy Janvier zamykał za sobą drzwi, Maigret przywołał go jeszcze raz.

— Jak spotkasz Lognona, nie opowiadaj mu, czym się zajmujesz.

— Jasne, szefie!

Niebieska walizka stała w kącie biurowego pokoju; zdawało się, że nie może już zdradzić żadnej tajemnicy. Była tania, z tych, jakie można kupić na każdym bazarze czy w pobliżu dworców kolejowych. Wyglądała na dość sfatygowaną.

Maigret wyszedł z gabinetu i skierował się na drugi koniec korytarza, gdzie urzędował jego kolega Prioliet z Oddziału Spraw Międzynarodowych. Prioliet podpisywał właśnie korespondencję; Maigret pykając spokojnie fajkę przyglądał się jego pracy.

— Potrzebujesz mnie?

— Tylko jedno pytanie. Znasz niejakiego Santoni?

— Marka?

— Tak.

— Niedawno się ożenił.

— Co o nim wiesz?

— Zarabia dużo i puszcza pieniądze równie łatwo, jak mu przychodzą. Przystojny chłopak, amator ładnych kobiet, wystawnych kolacyjek i luksusowych samochodów.

— Jest coś przeciwko niemu?

— Nic. Pochodzi z dobrej mediolańskiej rodziny. Tata jest grubą szyszką w przemyśle winnym, specjalność wermut, a Marco ma przedstawicielstwo firmy na Francję. Bywalec barów przy Champs–Elysées i drogich restauracji, pies na ładne dziewczyny. Kilka miesięcy temu dał się usidlić.

— Przez Janinę Armenieu.

— Nie wiem, jak ona się nazywa. Nie mam żadnego powodu zajmować się nim ani jego miłośkami. O tym, że się ożenił, wiem tylko stąd, że urządził wielki jubel w jednym z nocnych lokali, który specjalnie w tym celu wynajął.

— Byłoby dobrze, gdybyś dowiedział się czegoś o jego żonie. Ostatnimi czasy mieszkała w hotelu Waszyngtona. Chcę wiedzieć, z jakiego środowiska pochodzi, co robiła, zanim go poznała, kim byli jej przyjaciele i przyjaciółki. Zwłaszcza przyjaciółki.

Priollet wziął ołówek i zanotował coś w bloczku.

— To wszystko? Czy to ma coś wspólnego z tą zamordowaną z placu Vintimille?

Maigret skinął potakująco głową.

— Myślę, że nie masz w swoich aktach niejakiej Ludwiki Laboine?

Priollet odwrócił się w stronę uchylonych drzwi.

— Dauphin? Słyszałeś nazwisko?

— Tak, szefie.

— Bądź uprzejmy sprawdzić.

Po kilku minutach z sąsiedniego pokoju rozległ się głos Dauphina:

— Nie ma takiej.

— Przykro mi, stary. Zajmę się panią Santoni. Ale będzie mi trudno przesłuchać ją od razu, bo, jak piszą w gazetach, młoda para bawi we Włoszech.

— Nie upieram się, żeby to było zaraz.

Zegar na kominku, taki sam, jaki stał w pokoju Maigreta i jaki znajdował się w każdym paryskim komisariacie, wskazywał za kilka minut dwunastą.

— Idziesz coś wypić?

— Nie teraz — odparł Priollet. — Czekam na kogoś.

Patrząc na Maigreta odnosiło się wrażenie, że nie wie, co ma ze sobą zrobić. Wielkimi krokami przemierzył wolno korytarz, zajrzał nachmurzony do oszklonej poczekalni, gdzie nudziło się śmiertelnie dwu czy trzech interesantów. W kilka minut później, przebywszy wąskie schody prowadzące na ostatnie piętro Pałacu Sprawiedliwości, pchnął drzwi do laboratorium. Moers stał pochylony nad mikroskopem.

— Czy zbadałeś rzeczy, które ci przysłałem?

Tutaj nikt się nigdy nie spieszył; kilku mężczyzn w popielatych kitlach wykonywało jakieś drobiazgowo analizy posługując się powoli i w milczeniu ‘skomplikowanymi przyrządami; sam Moers był uosobieniem wewnętrznego spokoju.

— Czarna sukienka — rzekł — nigdy nie była w pralni, ale często usuwano z niej plamy benzyną i regularnie czyszczono szczotką. Mimo to w tkaninie pozostały odrobiny kurzu. Przyjrzałem się im dokładnie. Zrobiłem też analizę tych zanieczyszczeń, które nie chciały puścić w benzynie. Odkryłem ślady zielonej farby.

— To wszystko?

— Prawie. Jeszcze kilka ziarenek piasku.

— Rzecznego?

— Morskiego, takiego, jaki spotyka się na wybrzeżu Normandii.

— To nie jest taki sam piasek jak w Morzu Śródziemnym?

— Nie. Również niepodobny do oceanicznego.

Maigret powąłęsał się jeszcze trochę po laboratorium, opróżnił fajkę, stukając nią w obcas. Kiedy z powrotem wrócił do biura, minęło już południe i inspektorzy wychodzili na obiad.

— Łukasz pana szuka! — powiedział jeden z inspektorów nazwiskiem Jussieu, który pracował w sekcji Maigreta.

Łukasz był już w kapeluszu na głowie.

— Właśnie miałem iść. Zostawiłem panu na biurku notatkę. Féret prosi, żeby pan zaraz do niego zadzwonił. Zdaje się, że w sprawie tego morderstwa.

Maigret wszedł do swojego pokoju i podniósł słuchawkę.

— Daj mi lotną brygadę w Nicei.

Nigdy — jeszcze nie było tak mało telefonów, jak teraz, po opublikowaniu zdjęcia przez gazety. Na dobrą sprawę dotychczas miał tylko jeden — od Róży, młodej służącej z ulicy Clichy.

— A przecież były na pewno tuziny, setki ludzi, którzy co najmniej przez kilka miesięcy musieli widywać tę dziewczynę chociażby przelotnie, na ulicy.

— Halo, Féret?

— To pan, szefie?

Inspektor Féret pracował z Maigretem, zanim przeniesiono go do Nicei, o co prosił ze względu na zdrowie żony.

— Dzisiaj wcześniej rano miałem telefon w sprawie, która pana interesuje. Wie pan już, o kogo chodzi?

— Nazywa się chyba Ludwika Laboine.

— Zgadza się. Chce pan, żebym panu podał szczegóły? Zaznaczam, że nie ma tego wiele. Nie zaczynałem dokładniejszego śledztwa, bo czekałem na pańskie instrukcje. A więc dziś rano, koło wpół do dziewiątej, zadzwoniła do mnie niejaka Alicja Feynerou, handlarka ryb... Halo!...

— Tak, słucham.

Na wszelki wypadek Maigret zanotował nazwisko na jednym z papierków pozostawionych przez Lognona.

— Twierdzi, że rozpoznała zdjęcie, które zamieścił „Eclairer”. Ale to dość stara historia. Sprzed czterech czy pięciu lat, zdaje się. Dziewczyna, która jeszcze wtedy była smarkułą, mieszkała z matką w domu, który sąsiedował z posesją handlarki.

— Czy ona może podać jakieś szczegóły?

— Matka dziewczyny niezbyt skrupulatnie płaciła rachunki; to pamięta najlepiej. „Osoby, którym nigdy nie powinno się udzielać kredytu...” — powiedziała dosłownie.

— Co poza tym mówiła?

— Matka i córka zajmowały dość wygodne mieszkanie niedaleko alei Clemenceau. Matka musiała być kiedyś piękną kobietą. Była starsza, niż bywają zwykle matki piętnasto- czy szesnastoletnich dziewczyn. W owym czasie musiała mieć grubo ponad pięćdziesiątkę.

— Z czego żyły?

— Prawdziwa zagadka. Matka ubierała się bardzo dobrze; wychodziła zwykle po obiedzie i wracała późno w nocy.

— To wszystko? Żadnego mężczyzny?

— Nic z, tych rzeczy. Gdyby cośkolwiek było nie tak, sklepikarka na pewno k radością by mi to za — komunikowała.

— Czy wyprowadziły się razem?

— Wygląda na to, że tak. Pewnego pięknego dnia zniknęły, zdaje się, że zostawiły po sobie trochę długów.

— Sprawdziłeś, czy nazwisko Laboine nie figuruje w twoich kartotekach?

— To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłem. Nie ma śladu. Pytałem kolegów. Jednemu z dawnych pracowników nazwisko było skądś znajome, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd.

— Chcesz się tym zająć?

— Zrobię, co będę mógł. Co by pan chciał wiedzieć na początek?

— Wszystko. Kiedy dziewczyna opuściła Niceę. Co się stało z matką. Z czego żyły. U kogo bywały. Jeśli dziewczyna miała wtedy piętnaście czy szesnaście lat, musiała chyba jeszcze chodzić do szkoły. Czy zechciałbyś to sprawdzić w tamtejszych szkołach?

— Zrozumiano. Jak tylko czegoś się dowiem, zadzwonię do pana.

— Jeśli idzie o matkę, zajrzyj też do kasyna.

— Właśnie o tym myślałem.

Wizerunek na kliszy wzbogacił się jeszcze o kilka dodatkowych rysów. Na podstawie telefonu z Nicei Maigret ujrzał teraz „nastolatka” biegającego po ryby do sklepikarki, u której matka była stale zadłużona i która witała smarkulę z kwaśną miną.

Maigret włożył płaszcz, nasadził kapelusz na głowę i zszedł na dół. Na schodach minął jakiegoś człowieka prowadzonego przez dwu policjantów, na którego nawet nie spojrział. Przechodząc przez dziedziniec wstąpił do kierownika biura ewidencji pokoiów do wynajęcia. Wypisał na karteczce nazwiska Ludwika Laboine i Janiny Armenieu.

— Czy możesz powiedzieć swoim ludziom, żeby odszukali te dwa nazwiska w kartotekach? Raczej w zeszłorocznych niż w bieżących.

Lepiej, aby biedaczysko Lognon nie wiedział, że tym sposobem zrobiono za niego ładny kawałek roboty.

Ulewa przeszła i wyjrzało słońce osuszając stojące na ulicach kałuże. Maigret zrobił gest, jakby chciał zatrzymać przejeżdżającą taksówkę, ale zmienił zamiar, wolnym krokiem wszedł do piwiarni Dauphine i stanął przy barze. Sam nie wiedział, na co ma ochotę. Dwu inspektorów, nie z jego oddziału, klóciło się o wysługę lat konieczną do emerytury.

— Co podajemy, panie Maigret?

Na pozór można by myśleć, że komisarz jest w złym humorze, ale ci, co go znali, wiedzieli, że nie w tym rzecz. Po prostu był teraz wszędzie równocześnie: u wdowy z ulicy Clichy, u właścicielki sklepiku przy ulicy Douai, na ławce na placu Św. Trójcy, a teraz jeszcze w Nicei, gdzie oczyma wyobraźni widział małą dziewczynkę rozmawiającą z handlarką ryb.

Wszystko to mieszało się ze sobą, niewyraźne, zamglone, ale w końcu coś z tego powinno było się ułożyć. Był wśród tych obrazów jeden, którego ani rusz nie mógł się pozbyć — nagi kształt w ostrym świetle elektrycznej lampy i postać doktora Paula w białym fartuchu, wciągającego gumowe rękawiczki.

— Anyżówkę! — odparł machinalnie.

Paul powiedział mu wyraźnie, że zanim uderzono ją w głowę, dziewczyna upadła na kolana.

Nieco wcześniej wstępowała do „Romea” przy ulicy Caumartin, kierowca taksówki pamiętał jej nędzną suknię, barman ‘widział, jak kręciła się między tańczącymi, rozmawiała z kierownikiem sali, potem mówiła coś do panny młodej.

Później wyszła na deszcz i zaczęła iść przed siebie. Widziano ją przechodzącą przez plac Saint-Augustin, następnie mignęła na bulwarze Haussmanna przy skrzyżowaniu z ulicą Saint-Honoré.

O czym myślała przez ten cały czas? Dokąd szła? Czego się spodziewała?

Była właściwie bez grosza, miała zaledwie tyle, żeby coś zjeść. Stara Crémieux wyrzuciła ją z domu.

Nie mogła zająć daleko; gdzieś tam właśnie, dokąd doszła, spoliczkowano ją czy też pobito pięściami — upadła na kolana, ktoś uderzył ją w głowę czymś twardym i ciężkim.

To wszystko stało się około drugiej w nocy, jeśli wierzyć sekcji. Co robiła między dwunastą a drugą?

Potem zaczął działać morderca. Zwłoki porzucono na środku placu Vintimille.

— Dziwna dziewczyna! — mruknął Maigret.

— Słucham? — spytał kelner.

— Nic. Która godzina?

Na obiad pojechał do domu.

— A propos tego, o co pytałeś wczoraj — wieczór... — zaczęła pani Maigret, gdy usiedli razem do stołu. — Myślałam nad tym cały ranek. Jest jeszcze jeden powód, dla którego dziewczyna stroi się w wieczorową suknię.

Nie patyczkował się z nią, jak z Lognonem; nie dając jej dojść do słowa, mruknął roztargniony:

— Wiem. Ślub.

Pani Maigret nie odezwała się już więcej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

*O pewnej damie, która zarabia na życie grając w ruletkę;
o starej panie, która koniecznie chce wszystko powiedzieć,
i o smarkuli, która ukrywa się pod łóżkiem.*

Dwa, może trzy razy w ciągu tego popołudnia Maigret unosząc głowę znad papierów spoglądał w niebo, a widząc jego nieskalany błękit, złociste brzeżki obłoków i połyskujące na dachach słońce, z westchnieniem odkładał robotę, wstawał i otwierał na oścież okno.

I za każdym razem, ledwie zdążył z powrotem usiąść, aby rozkoszować się wiosennym powiewem, który dymowi fajki nadawał osobliwie miły posmak, papiery zaczynały się poruszać, unosić, i w końcu z szelestem rozlatywały się po kątach. (

Wysoko, w górze, chmury z białych i złocistych zrobiły się sinoszare; deszcz zacinał z ukosa, bębniąc po parapecie okna, na moście Saint-Michel ludzie nagle zaczęli poruszać się szybciej, zupełnie jak na niemych filmach, a kobiety przytrzymywały rękami spódniczki.

Potem spadł już nie deszcz, ale grad, którego kulki podskakiwały jak pingpongowe piłeczki. Kiedy komisarz zamknął okno, znalazł kilka na środku pokoju.

Czyżby Lognon wciąż gonił po mieście, posępny, z uszami położonymi po sobie, niczym ogar tropiący Bóg wie jaki ślad wśród tłumu przechodniów? Niewykluczone. Nawet zupełnie prawdopodobne. Nie zatelefonował. Nigdy nie nosił parasola. Nie należał też do tych, którzy przylepiają się do bram, by podobnie jak inni przeczekać ulewę. Przeciwnie, moknąc musiał odczuwać cierpką rozkosz — ofiara powszechnej niesprawiedliwości i własnego poczucia obowiązku.

Janvier wrócił koła trzeciej po południu, lekko chwiejąc się na nogach. Nieczęsto widywało się go w tym stanie; oczy błyszcząły mu bardziej niż zwykle, a w głosie słychać było rozbawienie.

— Dobra jest, szefie!

— Co takiego dobrego?

Słyszając Janviera można było pomyśleć, że przed chwilą odnalazł dziewczynę zdrową i całą.

— Miał pan rację.

— Tłumacz się jaśniej.

— Obszedłem wszystkie bary i kawiarnie.

— To widać.

— Była tylko w jednej, na rogu ulicy Caumartin i Saint-Lazare. Kelner, który ją obsługiwał, ma na imię Eugeniusz. Jest łysy, mieszka w Bécon-les-Bruyères i ma córkę mniej więcej w tym samym wieku co ona.

Janvier zdusił papierosa w popielniczce i zapalił nowego.

— Zjawiała się około wpół do jedenastej i usiadła w kącie, niedaleko kasy. Wyglądała na zziębniętą i zamówiła grog.

Kiedy Eugeniusz jej podał, poprosiła o żeton do automatu. Weszła do kabiny, ale niemal natychmiast z niej wyszła. Od tej chwili prawie do północy co najmniej dziesięć razy usiłowała się do kogoś dodzwonić.

— Ile grogów wypija?

— Trzy. Co kilka minut znikła w kabinie i wykręcała numer.

— Połączyła się w końcu?

— Tego Eugeniusz nie wie. Za każdym razem miał wrażenie, że tylko patrzeć, jak dziewczyna się rozplacze. Jednak wytrzymała do końca. W pewnej chwili usiłował coś do niej zagadać, ale spojrzała tylko na niego bez słowa. Widzi pan, że to wszystko trzyma się kupy. Ze sklepiku przy ulicy Douai wyszła parę minut po dziesiątej. Miała dość czasu, aby

dojść pieszo aż na ulicę Caumartin. Siedziała w kawiarni, usiłując dodzwonić się do kogoś, aż do chwili, gdy udała się w kierunku „Romea”. Trzy szklanki grogu to nieźle jak na dziewczynę. Musiała być trochę zawiana.

— I już bez grosza przy duszy — zauważył Maigret.

— Nie pomyślałem o tym. Racja. Co mam teraz robić?

— A nie masz nic do załatwiania?

— Tylko zwykłe sprawy.

Schylił się nad biurkiem, niewątpliwie żałując teraz, że jego wyprawa nie trwała dłużej.

Maigret grzebał w teczkach, robił notatki, od czasu do czasu dzwonił do innego wydziału. Dochodziła piąta, gdy w drzwiach stanął Priollet, który zanim usiadł, zapytał:

— Nie przeszkadzam ci?

— Bynajmniej. Likwiduję rozmaite stare sprawy.

— Znasz Lucjana, tego który u mnie pracuje i mieszka niedaleko ciebie?

Maigret przypominał go sobie niejasno. Był to mały grubas o bardzo czarnych włosach; jego żona miała sklep z ziołami przy ulicy Chemin–Vert. Widywał go, zwłaszcza latem, na progu sklepu, gdy szli z żoną na kolację do doktora Pardon.

— Przed kwadransiem zagadnąłem i jego, ot tak, na wszelki wypadek, podobnie jak wypytywałem wszystkich moich ludzi.

— W sprawie Janiny Armenieu?

— Tak.

Popatrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami. „To ciekawe — powiedział. — Żona mówiła o niej właśnie przy śniadaniu. Przeleciało mi to koło uszu. Chwileczkę. Niech sobie przypomnę. Chyba coś w tym guście: »Pamiętasz tę rudą z ładnym biustem, która mieszkała w sąsiednim domu? Niedawno wyszła bogato za mąż. Wynajęli na przyjęcie cały nocny lokal«. Żona wymieniła jej nazwisko. Właśnie Armenieu. Dodała jeszcze: »Myślę, że nie będzie już u mnie kupować baniek«,».

Niewykluczone, że i Maigret również musiał widywać ją w okolicach swojego domu, i pani Maigret robiła chyba sprawunki w tych samych sklepach co ona, bo kupowała prawie wszystko przy ulicy Chemin–Vert.

— Lucjan spytał mnie, czy ma się tym zająć. Odparłem, że na pewno chciałbyś zatrzymać sprawę w swoich rękach.

— O Santonim nic nie słyhać?

— Nic specjalnego, chyba to, że wszyscy przyjaciele byli zaskoczeni ślubem. Dotychczas żadne jego amory nie trwały długo.

Na dworze była akurat przerwa między jedną ulewą a drugą. Słońce przygrzewało, kałuże wysychały. Maigret pomyślał, że dobrze by było przejść się trochę; sięgnął właśnie po płaszcz i kapelusz, gdy — zadzwonił telefon.

— Halo, komisarz Maigret, słucham.

To była Nicea, Féret musiał mieć jakieś nadzwyczajne nowiny, gdyż był tak samo podniecony jak przed chwilą Janvier.

— Odnalazłem matkę, szefie! Żeby z nią porozmawiać, musiałem jechać do Monte Carlo.

Tak jest niemal zawsze. Całymi godzinami, całymi dniami człowiek drepcze w miejscu, a potem wiadomości sypią się jak z rękawa.

— Była w kasynie?

— Jeszcze, tam jest. Wyjaśniła, że nie może odejść od stołu, zanim nie odegra stawki i nie zarobi na życie.

— Chodzi tam co dzień?

— Tak samo, jak inni chodzą do biura. Gra dotąd, dopóki nie wygra tych kilkuset franków, których potrzebuje na utrzymanie. Potem odchodzi, nie próbując nigdy grać dalej.

Maigret znał ten system.

— Jaka tam u was pogoda?

— Wspaniała. Pełno cudzoziemców, którzy przyjechali na Karnawał. Jutro mamy Paradę Kwiatów, właśnie ustawiają estrady.

— Czy ona nazywa się Laboine?

— W dowodzie osobistym ma Żermena Laboine, ale każe sobie mówić Liliana. Krupierzy znają ją jako Lili. Ma chyba koło sześćdziesiątki, jest bardzo wymalowana i obwieszona sztuczną biżuterią. Zna pan ten rodzaj kobiet? Za nic na świecie nie mogłem jej oderwać od stołu, przy którym traktowali ją jako stałą bywalczynię. W końcu musiałem oświadczyć bez ogródek: „Pani córka nie żyje”.

Maigret zapytał:

— Nie wiedziała o tym z gazet?

— Ona nie czyta gazet. Takich jak ona obchodzi wyłącznie ruletka. Co dzień rano kupują cienki biuletyn z wykazem numerów, które wyszły poprzedniego dnia i w ciągu nocy. Jest tu w Nicei trochę takich, którzy jeżdżą zawsze tym samym autobusem i rzucają się do stołów w kasynie jak ekspedientki w wielkich magazynach do lady, przy których pracują.

— Jak na to zareagowała?

— Trudno powiedzieć. Właśnie po raz piąty z rzędu wyszło czerwone, a ona grała — na czarne. Najpierw rzuciła na stół kilka sztonów. Jej wargi poruszyły się, ale nie dosłyszałem, co mówiła. Dopiero gdy czarne wyszło wreszcie i kiedy zagarnęła wygraną, wstała. „Jak to się stało?” — zapytała. „Nie zechciałaby pani wyjść ze mną na chwilę?” „Teraz nie mogę. Muszę pilnować stołu. Dlaczego nie mielibyśmy porozmawiać? Gdzie się to stało?” „W Paryżu”. „Umarła w szpitalu?” „Została zabita. Znaleziono ją martwą na ulicy”. „Wypadek?” „Morderstwo”. Zdawała się zaskoczona, ale w dalszym ciągu nadstawiała bacznie ucha na głos krupiera, który anonsował zagrania. W pewnej chwili przerwała mi: „Pozwoli pan?” Podeszła do stołu i rzuciła kilka sztonów na jedno z pól. Zastanawiałem się, czy używa narkotyków. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, sędzę, że nie. Po prostu doszła do takiego stanu, w którym człowiek jest już tylko pewnego rodzaju automatem, rozumie pan? Maigret przytaknął. Spotykał już takich osobników.

— Długo trwało, zanim zdołałem jednak coś z niej wyciągnąć. Ciągłe powtarzała: „Dlaczego nie zaczeka pan do wieczora, kiedy wrócę do Nicei? Powiem panu wszystko, co pan zechce. Nie ma czego ukrywać”. Słyszysz mnie pan, szefie? Proszę zwrócić uwagę, że ona miała trochę racji mówiąc, że nie może opuścić kasyna. Dla takich jak ona to niemal zawód. Każdy dysponuje pewnym kapitałem, który pozwala kilka razy zagrać na podwójną stawkę. Jak długo mogą ją stawiać, a ich kolor w końcu wyjdzie, nic nie ryzykują. Zadowolają się więc małymi wygranymi, akurat tyle, żeby mieć na życie i na codzienny autobus. Dyrekcja kasyna zna je dobrze. Jest wśród nich kilku mężczyzn, ale przeważają starsze kobiety. Kiedy w kasynie jest pełno i wszystkie stoły są zajęte, kierownictwo pozbywa się ich dając im tyle, ile mogłyby w końcu wygrać siedząc tam kilka godzin...

— Mieszka samotnie?

— Tak. Mam się z nią spotkać, jak wróci. Wynajmuje pokój przy ulicy Greuze, niedaleko bulwaru Wiktora Hugo. Nosi suknie, które były modne dziesięć lat temu, tak samo kapelusze. Spytałem ją, czy była kiedyś zamężna; odparła: „Zależy, co się przez to rozumie”. Oświadczyła, że była artystką i przez wiele lat pod pseudonimem Lili France podróżowała po krajach Wschodu i Azji Mniejszej. Myślę, że zna pan takie historie.

W Paryżu istniały swego czasu specjalne agencje trudniące się rekrutacją tego — rodzaju artystek. Chodziło to, żeby nauczyć je kilku tanecznych pas albo paru piosenek. Następnie wysyłano je do Turcji, do Egiptu, do Bejrutu, gdzie pracowały w kabaretach jako fordanserki mające procent od wypitych przez gości trunków.

— I tam przyszła na świat córka?

— Nie. Urodziła się we Francji; matka miała wtedy blisko czterdziestkę.

— To miało miejsce w Nicei?

— O ile mogłem zrozumieć — tak. Nielatwo jest przesłuchiwać kogoś, kto stoi z oczyma wlepionymi w wibrującą kulkę i ściska kurczowo palce za każdym razem, jak ona się zatrzymuje. W końcu oznajmiła kategorycznie: „Nie zrobiłam nic złego, prawda? A więc niech mi pan da spokój. Obiecałam już, że wieczorem odpowiem na pańskie pytania, i...”

— To wszystko, czego się dowiedziałeś?

— Nie. Mała wyjechała z domu przed czterema laty, pozostawiając list, w którym pisała, że już nigdy nie wróci.

— Miała więc niecałe szesnaście lat?

— Dokładnie szesnaście. Zniknęła w dniu swoich urodzin i odtąd nie dała znaku życia.

— Czy matka zawiadomiła policję?

— Nie. Chyba nie była wcale zmartwiona tym, że się jej pozbyła.

— Nie dowiedziała się nigdy, co się z nią stało?

— Kilka miesięcy później dostała list, w którym niejaka panna Poré, mieszkająca przy ulicy Chemin-Vert zawiadamiała ją, że powinna lepiej pilnować swojej córki i nie zostawiać jej samej w Paryżu. Nie wiem, pod którym mieszka panna Poré. Pani Laboine obiecała, że da mi jej adres wieczorem.

— Wiem, gdzie jej szukać.

— Orientuje się pan w tym wszystkim?

— Mniej więcej.

Maigret rzucił okiem na Priolleta, który przysłuchiwał się rozmowie. Te same informacje napływały teraz z rozmaitych źródeł jednocześnie.

— O której — masz się z nią spotkać?

— Jak tylko wróci do Nicei. To może być równie dobrze siódma wieczór, jak dwunasta w nocy. Wszystko zależy od ruletki.

— Dzwoń do mnie do domu.

— Tak jest, szefie.

Maigret odłożył słuchawkę.

— Według tego, co mówi Féret z Nicei — powiedział — osobą, u której mieszkała Janina Armenieu przy ulicy Chemin-Vert, jest niejaka panna Poré. I ona znała Ludwikę Laboine.

— Będziesz tam?

Maigret otworzył drzwi.

— Jedziesz ze mną, Janvier?

W chwilę później obaj siedzieli w samochodzie, znalazłszy się na ulicy Chemin-Vert, zatrzymali się przed sklepem z ziołami. W ciemnym wnętrzu, pachnącym przyjemnie dziurawcem, stała za ladą żona Lucjana.

— Czym mogę panu służyć, panie komisarzu?

— Pani, zdaje się, zna Janinę Armenieu?

— Mąż panu powiedział? Mówiłam mu o niej akurat dziś rano, z powodu tego ślubu, który opisali w gazecie. To szałowa dziewczyna.

— Od jak dawna ją pani widywała?

— Co najmniej od trzech lat. Chwileczkę. To było jeszcze zanim mój stary dostał podwyżkę. A więc prawie trzy i pół roku. Była zupełnie młodziutka, ale już całkiem rozwinięta, bardzo kobieca, wszyscy mężczyźni oglądali się za nią na ulicy.

— Mieszkała w sąsiednim domu?

— U panny Poré; to dobra klientka, pracuje jako telefonistka. Panna Poré jest jej ciotką. Mam wrażenie, że pod koniec nie całkiem się z sobą zgadzały i dziewczyna zdecydowała się zamieszkać osobno.

— Myśli pani, że panna Poré jest w domu?

— Jeśli się nie mylę, w tym tygodniu pracuje od szóstej rano do trzeciej po południu. Jest szansa, że ją pan zastanie.

W chwilę później wchodzili do sąsiedniego domu.

— Czy tu mieszka panna Poré? — spytali dozorczynię.

— Drugie piętro na prawo. Ktoś już jest u niej.

W kamienicy nie było windy. Na schodach panował półmrok. Zamiast guzika przy drzwiach wisiała wstążka, której pociągnięcie wprawiało w ruch znajdujący się wewnątrz mieszkania dzwonek o wątlym dźwięku.

Drzwi otworzyły się od razu. Chuda dama o ostrych rysach i czarnych oczach spojrzała na nich surowo.

— Czego panowie sobie życzą?

Maigret miał właśnie odpowiedzieć, gdy w mrocznej głębi spostrzegł twarz inspektora Lognona.

— Przepraszam pana, Lognon. Nie przypuszczałem, że pana tu spotkam.

Fajtlapa popatrzył nań wzrokiem pełnym rezygnacji. Panna Poré mruknęła:

— To panowie się znają?

Zdecydowała się wpuścić ich do środka. W czyściutkim mieszkanku, zalatywało jakimiś kuchennymi zapachami. W niewielkiej jadalni stało ich teraz czworo, nie bardzo wiedząc, jak się mają zachować.

— Dawno pan przyszedł, Lognon?

— Zaledwie pięć minut temu.

Nie była to odpowiednia chwila, aby pytać, skąd znalazł ten adres.

— Czy dowiedział się pan już czegoś?

Panna Poré wtrąciła:

— Zaczęłam właśnie mówić temu panu, co mi jest wiadome, i nie dokończyłam. Jeśli, zobaczywszy fotografię w gazecie, nie poszłam od razu na policję, to dlatego, że nie byłam pewna, czy to rzeczywiście ona. Po trzech i pół latach człowiek może się zmienić, szczególnie w tym wieku. W końcu nie lubię się mieszać do nie swoich spraw.

— Janina Armenieu jest pan siostrzenicą, prawda?

— Mówiłam nie o Jance, ale o jej przyjaciółce. Jeśli idzie o Janinę, to istotnie jest córką mojego przyrodniego brata, ale bynajmniej nie jestem zachwycona jej wychowaniem.

— Czy ona pochodzi z Południa?

— O tyle, o ile, pana zdaniem, Lyon to Południe. Mój biedny brat pracuje w przędzalni; odkąd stracił żonę, to nie ten sam człowiek.

— Kiedy ona umarła?

— W zeszłym roku.

— Janina Armenieu przyjechała do Paryża cztery lata temu — czy tak?

— Tak, mniej więcej przed czterema laty. Lyon już jej nie wystarczał. Miała siedemnaście lat i chciała być niezależna. One wszystkie są teraz takie. Brat napisał do mnie, że nie potrafi zatrzymać córki, że ona postanowiła wyjechać, i zapytywał, czy zgodziłabym się wziąć ją do siebie. Odpowiedziałam, że oczywiście i że nawet będę może mogła znaleźć jej jakąś pracę.

Mówiła, akcentując wyraźnie każdą sylabę, jakby wszystko, co miała do zakomunikowania, było niezmiernie ważnej. Spoglądając na nich kolejno spytała nagle:

— Skoro wszyscy panowie jesteście z policji, jak to się stało, że przyszlście tu oddzielnie?

Co można było odpowiedzieć? Lognon spuścił głowę. Maigret odparł:

— Pracujemy w różnych oddziałach.

Z delikatnością słońca w składzie porcelany odezwała się, patrząc na imponującą postać Maigreta:

— Przypuszczam, że pan jest najważniejszy? Jaki jest pański stopień?

— Komisarz.

— Czy to pan jest komisarzem Maigret?

Kiedy skinął głową potakująco, podsunęła mu krzesło.

— Proszę spocząć. Wszysciutko panu powiem. Na czym to ja skończyłam? Ach, prawda, na liście od brata. Mogę ten list odszukać, jeśli pan chce, przechowuję całą swoją korespondencję, włącznie z listami od rodziny.

— Dziękuję. To nie jest konieczne.

— Jak pan woli. Krótko mówiąc, dostałam ten list, odpisałam i pewnego dnia, koło wpół do ósmej rano, bratanica zjawiała się u mnie. Już to jedno może panu dać pojęcie o jej mentalności. Mając tyle doskonałych dziennych pociągów, musiała jechać nocnym. Bo to bardziej romantycznie, rozumie pan? Na szczęście był to tydzień, kiedy pracowałam na drugiej zmianie. Mniejsza o to. Nie mówię już, w co była ubrana ani jaką miała fryzurę. Ale powiedziałam jej trochę do słuchu, nie ukrywając, że jeśli nie chce, żeby ją pokazywano palcami w całej dzielnicy, powinna zmienić styl. Mieszkanie, które zajmuję od dwudziestu lat, nie jest duże ani luksusowe, ale w każdym razie mam dwie sypialnie. Jedną oddałam Janinie do dyspozycji. Przez tydzień chodziłam z nią wszędzie razem, aby jej pokazać miasto.

— Co miała zamiar robić?

— Pan się pyta? Znaleźć sobie jakiegoś bogatego chłopca, oto, co miała zamiar robić. Jeśli mam wierzyć w to, co piszą w gazecie, dopięła celu. Tylko nie chciałabym przejść tego wszystkiego, co ona przeszła.

— Znalazła pracę?

— Została ekspedientką w jednym z magazynów na Wielkich Bulwarach. Sklep z galanterią skórzaną, niedaleko placu Opera.

— Długo tam była?

Panna Poré lubiła opowiadać wszystko po swojemu i wcale tego nie ukrywała.

— Jeśli co chwila będzie mnie pan o coś pytał, stracę wątek. Powiem panu wszystko, proszę się nie bać. A więc mieszkaliśmy tu sobie razem, ściśle mówiąc, wyobrażałam sobie, że mieszkamy razem. Przez jeden tydzień mam wolne całe przedpołudnie, przez drugi — od trzeciej po południu. Mijały miesiące. To było w zimie. Wtedy była ostra zima. Sprawunki robię w swojej dzielnicy, taki już mam zwyczaj. I właśnie z powodu jedzenia zaczęłam coś podejrzewać, zwłaszcza z powodu masła, które zniknęło z niezwykłą wprost szybkością. Chleb także. Czasem nie mogłam znaleźć w spiżarni reszty mięsa lub tortu, chociaż miałam pewność, że je tam zostawiłam. „To ty zjadłaś kotlet?”. „Tak, ciociu. Wczoraj w nocy okropnie zachciało mi się jeść”. Streszczam się. Nie od razu się połapałam. Wie pan, jak było naprawdę? Calutki ten czas w moim mieszkaniu, bez mojej wiedzy, mieszkała jeszcze trzecia osoba. To nie był mężczyzna, mogę pana od razu uspokoić. Jakieś dziewczynisko. Właśnie ta, której fotografia była w gazecie i którą znaleziono nieżywą na placu Vintimille. Co dowodzi, mówiąc między nami, że słusznie się niepokoiłam, bo podobne rzeczy nie zdarzają się przecież ludziom takim jak pan czy ja.

Ani razu nie zrobiła przerwy, aby zaczerpnąć tchu. Stała oparta plecami o okno, z rękami splecionymi na płaskim brzuchu; słowa płynęły za słowami, jedno zdanie goniło drugie, jak przesuwane się ziarnka różańca.

— Niech pan się nie obawia, już prawie skończyłam. Nie chcę nadużywać pańskiego czasu, bo jak przypuszczam, ma pan masę roboty.

Zwracała się wyłącznie do Maigreta, uważając widocznie, że Lognon gra tylko rolę figuranta.

— Pewnego ranka, kiedy sprzątałam, szpulka nici upadła mi na podłogę i potoczyła się pod łóżko Janiny. Schyliłam się po nią. Przyznaję, że wrzasnęłam, ale ciekawa jestem, co by pan zrobił na moim miejscu. Pod łóżkiem ktoś leżał, patrząc na mnie kocimi oczyma. Całe szczęście, że kobieta. To mi trochę dodało odwagi. Na wszelki wypadek złapałam za pogrzebacz i zawołałam: „Wylaż stamtąd!” Dziewczyna była chyba jeszcze młodsza od

Janiny; miała najwyżej szesnaście lat. Ale jeżeli pan myśli, że płakała, to się pan grubo myli. Wpatrywała się we mnie nie odwracając wzroku, zupełnie jakbym to ja, a nie ona, była nie wiem jakim potworem. „Kto panią tu wpuścił?”. „Jestem przyjaciółką Janiny”. „Czy to jest powód, żeby chować się pod łóżkiem? Co pani tam robiła?” „Czekałam, aż pani wyjdzie”. „W jakim celu?” „Aby samej móc wyjść”. Wyobraża sobie pan, panie komisarzu? I tak to trwało od tygodni, jeśli nie od miesięcy. Przyjechała do Paryża w tym samym czasie co moja bratanica. Poznały się w pociągu. Obie jechały trzecią klasą i nie mogąc spać przegadały całą noc, każda na swój temat. Dziewczynie było na imię Ludwika; miała przy sobie akurat tyle, żeby przeżyć dwa, trzy tygodnie. Znalazła pracę w jakimś biurze; przyklejała znaczki na koperty. Ale zdaje się, że szef zaczął jej z miejsca robić wiadome propozycje, tak że dała mu po buzi. Tyle mi powiedziała, ale to niekoniecznie musiała być prawda. Gdy została bez grosza i kiedy wyrzucili ją z mieszkania, które sobie wynajęła, odszukała Janinę, a ta jej powiedziała, że przez kilka dni, zanim sobie nie znajdzie jakiejś innej pracy, może spać tutaj. Janina nie miała odwagi mi się przyznać. Wprowadzała koleżankę do domu, jak mnie nie było, i póki nie poszłam spać, ta cała Ludwika siedziała schowana u niej pod łóżkiem. Wtedy, kiedy pracowałam na drugiej zmianie, musiała tam siedzieć aż do wpół do trzeciej, bo idę do roboty na trzecią.

Od samego początku Maigret z trudem zmuszał się do zachowania powagi, gdyż kobieta nie spuszczała z niego oka i poczułaby się dotknięta choćby najlżejszym ironicznym uśmiechem.

— Krótko mówiąc... — powtórzyła.

Najmniej już ze trzy razy użyła tego zwrotu i Maigret mimo woli spojrzął na zegarek.

— Jeśli to pana nudzi...

— Ależ bynajmniej.

— Jest pan gdzieś umówiony?

— Mam jeszcze trochę czasu.

— Już kończę. Chcę tylko zwrócić pana uwagę, że całymi miesiącami każde moje słowo dochodziło do uszu osoby trzeciej, jakiejś awanturnicy, której nawet nie znałam i która śledziła wszystko, co robię i gdzie idę. Żyłam normalnym, codziennym życiem myśląc, że jestem u siebie, nie podejrzewając, że...

— Napisała pani do matki?

— Skąd pan wie? Ona panu mówiła?

Na twarzy Lognona malowało się rozczarowanie. On wpadł na trop tej Poré, co go kosztowało wiele długich i wyczerpujących wędrówek po mieście. Ileż ulewnych deszczów musiało go przemoczyć — jako że nigdy nie usiłował nawet nigdzie się schować.

A on, Maigret, nie musiał nawet opuszczać biura. Informacje napływały do niego same, nie potrzebował, się o nie martwić. I nie tylko, że wpadł na ślad panny Poré niemal równocześnie z Lognonem, ale zdawało się, że wie o wszystkim o wiele lepiej.

— Nie od razu do niej napisałam. Najpierw przepędziłam tę dziewczynę i zapowiedziałam, żeby jej noga nie powstała tu więcej. Chyba mogłabym wystąpić nawet na drogę sądową?

— Za bezprawne wtargnięcie do mieszkania?

— No, i za kradzież jedzenia przez te kilka miesięcy. Gdy bratanica wróciła, powiedziałam bez ogródek, co myślę o niej i o jej znajomościach. Janina nie była więcej warta, przekonałam się o tym, kiedy w kilka tygodni później ona także wyprowadziła się z domu i zamieszkała w hotelu. Panienka chciała mieć swobodę, rozumie pan? Żeby przyjmować chłopów!

— Jest pani pewna, że ich przyjmowała?

— A na cóż by innego potrzebowała samodzielnego mieszkania, skoro u mnie miała gdzie spać i co jeść? Wypytałam ją o tę jej przyjaciółkę. Powiedziała mi, jak się nazywa i gdzie mieszka jej matka. Wahałam się prawie tydzień, zanim napisałam do niej list, którego mam

kopię. Nie wiem, czy odniósł jakiś skutek. Przynajmniej tamta nie będzie mogła powiedzieć, że jej nie ostrzegałam! Chce pan przeczytać?

— To nie jest konieczne. Czy pani miała jakiś kontakt z bratanicą po jej wyprowadzeniu?

— Nigdy nie przyszła nawet powiedzieć mi dzień dobry; ani razu nie wpadło jej do głowy, żeby mi przysłać życzenia noworoczne. Myślę, że całe to nowe pokolenie jest takie. Te kilka rzeczy, które o niej wiem, zawdzięczam mojemu bratu, który nic z tego wszystkiego nie rozumie. Już ona go umie czarować. Od czasu do czasu pisze do niego, opowiada, że pracuje, że czuje się dobrze, i za każdym razem obiecuje, że wkrótce go odwiedzi.

— Czy nigdy nie była w Lyonie?

— Raz, na Boże Narodzenie.

— Ma jakieś rodzeństwo?

— Miała brata, który zmarł w sanatorium. Krótko mówiąc...

Maigret zaczął odruchowo liczyć te zwroty.

— Ona jest pełnoletnia. Przypuszczam, że uprzedziła mojego brata o swoim ślubie. Nic mi nie wspominał. Ja sama dowiedziałam się o tym z gazety. Ale ciekawe, nie uważa pan, że jej przyjaciółkę zabito akurat w dniu ślubu,

— Czy one się dalej widywały?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Ale jeśli pan jest ciekaw, co myślę, to taka dziewczyna, jak Ludwika, niełatwo zrezygnuje z przyjaciółki. Tacy, którzy żyją cudzym kosztem i kryją się pod łózkami, nie zrażają się byle czym. A ten Santoni to rzeczywiście bogaty człowiek...

— A więc przez trzy lata nie widziała się pani z bratanicą?

— Trochę więcej niż trzy lata. Raz, w zeszłym roku, chyba w lipcu, zauważyłam ją w pociągu. To było na dworcu Saint-Lazare. Wybrałam się na cały dzień do Mantes-la-Jolie*. Była piękna pogoda, upał. Miałam wolne i okropnie tęskniłam za wsią. Na sąsiednim torze stał wspaniały ekspres; powiedziano mi, że jedzie do Deauville*. Nasz pociąg właśnie ruszył, gdy w oknie ekspresu mignęła mi Janina. Pokazała mi palcem komuś, kto był razem z nią w przedziale, i w ostatniej chwili zrobiła w moim kierunku ironiczny gest.

— Czy to była kobieta?

— Nie mogłam się zorientować. Zdawało mi się, że Janina była bardzo szycownie ubrana, a ten ekspres miał tylko wagony pierwszej klasy.

Janvier, jak zwykle, robił notatki, skąpe zresztą, bo całą tę gadaninę można było streścić w kilku słowach.

— Czy wtedy, kiedy pani bratanica tu mieszkała, orientowała się pani, z kim ona się widuje?

— Sądząc z tego, co mówiła, nie spotykała się z nikim. Trudno ufać dziewczynie, która ukrywa pod łóżkiem nie wiadomo kogo.

— Dziękuję pani bardzo.

— To wszystko, co pan chciał wiedzieć?

— Chyba że ma pani jeszcze jakieś informacje.

— Nie sądzę. Gdyby mi się coś przypomniało...

Nie bez żalu patrzyła, jak wszyscy trzej zmiierają w kierunku drzwi. Bardzo by chciała mieć jeszcze coś do powiedzenia. Lognon przepuścił przodem Maigreta i Janviera i schodził ze schodów ostatni.

Znalazłszy się na chodniku komisarz nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

— Przepraszam cię, stary. Gdybym wiedział, że tu jesteś...

— To nie ma znaczenia.

— Zrobił pan dobrą robotą. Niewykluczone, że teraz wszystko pójdzie galopem.

— To znaczy, że już mnie pan nie potrzebuje?

* Miejscowość letniskowa niedaleko Paryża (przyp. tłum.).

* Modne uzdrowisko na zachodnim wybrzeżu nad kanałem La Manche (przyp. tłum.).

— Tego nie powiedziałem.

Żona Lucjana przyglądała im się z okna swojego sklepu.

— Na razie nie mam dla pana nic specjalnego. Może nie byłoby źle, gdyby pan sobie trochę odsapnął i zajął się swoim bronchitem.

— To tylko zwykły katar. Mimo wszystko dziękuję panu.

— Podrzucić pana gdzieś?

— Nie. Pojadę metrem.

Lognon z naciskiem starał się podkreślić różnicę między nimi, jeżdżącymi samochodem, a sobą, który podróżuje metrem, i — jako że dochodziła szósta — będzie się musiał gnieść w tłoku.

— Gratuluję. Gdyby pan dowiedział się czegoś nowego, proszę zadzwonić. Ze swej strony będę pana informował o wszystkim.

Znalazłszy się w samochodzie obok Janviera, Maigret westchnął:

— Biedny Lognon! Dużo bym dał, żeby się z nim tu nie spotkać.

— Wraca pan do komendy?

— Nie. Podwieź mnie do domu.

Maigret mieszkał o dwa kroki stamtąd. Nie mieli czasu omówić tego, czego się przed chwilą dowiedzieli. Z pewnością obaj myśleli o szesnastoletnim podlotku, który uciekł z domu i miesiącami musiał ukrywać się pod łóżkiem.

Wdowa Crémieux określiła ją jako dumnego zarozumialca, który nie raczył odzywać się do nikogo. Służąca państwa Lacher, Róża, widywała ją spędzającą długie godziny samotnie na ławce przed kościołem Św. Trójcy. Sama też była dwukrotnie u „Panny Ireny”. Nikt nie towarzyszył jej do „Romea”, z nikim także stamtąd nie wyszła, odrzucając mimo deszczu propozycję taksówkarza, który widział ją przechodzącą przez plac Saint-Augustin, a później na rogu ulicy Saint-Horiore.

Potem było tylko martwe ciało leżące na mokrym bruku placu Vintimille.

Nie miała już ani wypożyczonego aksamitnego wdzianka z kapturem, ani wyszywanej srebrem torebki, a na jednej stopie brakowało czółenka na wysokiej szpilce.

— Do jutra, szefie.

— Do jutra, stary.

— Są jakieś rozkazy?

Nie było sposobu, żeby przesłuchać Janinę Armenieu, obecną panią Santoni, spędzającą miodowy miesiąc we Florencji.

— Wieczorem spodziewam się telefonu z Nicei.

Istniało jeszcze sporo luk, które trzeba było wypełnić: I gdzieś był także ktoś, kto najpierw zamordował dziewczynę, a potem przewiózł ją na plac Vintimille.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

w którym jest mowa o dziwnym ojcu i o skrupułach Maigreta.

Podczas obiadu pani Maigret opowiadała coś o córce sąsiadki z tej samej klatki schodowej; tego dnia córka była po raz pierwszy u dentysty i powiedziała... Co ona właściwie powiedziała? Maigret nie zdawał sobie sprawy, że słuchał tyłka jednym uchem, i spojrzał na żonę, której głos brzmiał jak znajoma przyjemna muzyka. Pani Maigret przerwała opowieść i spytała:

— Nie śmiesz się?

— Masz rację, to zabawne.

Myśłami był zupełnie gdzie indziej. To mu się zdarzało. Wpatrywał się wtedy w rozmówcę wielkimi, nieruchomymi oczyma; ktoś, kto go nie znał, nie domyślał się nawet, że Maigret paltry w niego jak na ścianę albo ginącą w głębi sceny dekorację.

Pani Maigret nie kończyła historyjki, poszła pozmywać na — czynienia; tymczasem komisarz usadowił się wygodnie w fotelu i rozłożył gazetę. Kiedy w kuchni ucichły głosy porządków, w mieszkaniu zapanowała cisza przerywana tylko od czasu do czasu szelestem odwracanych stron gazety; dwukrotnie zza okna dobiegł szum padającego deszczu.

Koło dziesiątej pani Maigret widząc, że mąż pieczołowicie składa gazetę, miała przez chwilę nadzieję, że pójdą spać, ale on wyciągnął ze stosu ilustrowanych pism jakiś magazyn i ponownie pograżył się w lekturze. Zabrała się więc do szycia, wypowiadając od czasu do czasu jakąś błahą uwagę. Było jej obojętne, czy mąż odpowie coś, czy zadowolony się tylko chrząknięciem; po prostu to stwarzało bardziej intymny nastrój.

Sąsiedzi mieszkający nad nimi zgasili radio i położyli się spać.

— Czekasz na coś?

— Może być telefon.

Féret obiecał, że przesłucha jeszcze raz matkę Ludwika, jak tylko starsza pani wróci z Monte Carlo. Mogło mu coś przeszkodzić. W przeddzień Parady Kwiatów musieli tam mieć sporo roboty.

Nieco później pani Maigret zdała sobie sprawę, że szelest odwracanych kart umilkł. Mąż siedział nieruchomo z otwartymi oczyma. Odczekała sporą chwilę, zanim powiedziała:

— Może by jednak mimo wszystko się położyć?

Było już po jedenastej. Maigret nie zaprotestował; wziął telefon włączył go do gniazdka w sypialni i ustawił aparat na nocnym stoliku.

Potem rozebrali się, kolejno poszli do łazienki, wykonali codzienny rytuał drobnych czynności. Maigret zgasił światło i obróciwszy się do żony, pocałował ją.

— Dobranoc.

— Dobranoc. Spróbuj zasnąć.

Nie przestawał myśleć o Ludwice Laboine i o innych postaciach, które jedna po drugiej zjawiały się nie wiadomo skąd, defilując przed nim jakby w jakimś orszaku.

Jedynym, co je różniło od rzeczywistości sprzed kilku zaledwie godzin, było to, że teraz jawiły się płynne i groteskowe, a w końcu zmieszały się ze sobą, gdyż każda z nich grała jakąś nie swoją rolę.

Jeszcze później Maigretowi zdawało się, że rozgrywa partię szachów, ale był tak zmęczony, a gra trwała już tak długo, że przestał rozróżniać figury. Brał hetmana za króla, giermków za koniki i nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie postawił wieże. To było niepokojące, bo szef nie spuszczał z niego oka. Quai des Orfèvres przywiązywało do tej partii ogromną wagę. Rzeczywiście, jego przeciwnikiem był nie kto inny jak Lognon, który z sarkastycznym uśmiechem wyczekiwał, pewny siebie, na sposobność zaszachowania Maigreta i dania mu mata.

Nie wolno było do tego dopuścić. Chodziło o prestiż Quai des Orfèvres. Dlatego właśnie wszyscy zgromadzili się za jego plecami, śledząc go bacznie: Łukasz, Janvier, młody Lapointe, Torrence i tylu innych, których nie mógł rozróżnić.

— Odpowiedział pan! — odezwał się Lognon do kogoś, kto stał tuż za plecami komisarza. — Ale to nie ma znaczenia.

On, Lognon, był sam, całkiem sam. Nie miał nikogo do pomocy. Jeśliby wygrał, co powiedzieliby ludzie?

— Możecie podpowiadać do woli. Jedyne, czego żądam, to żeby nie było oszustw.

Dlaczego był przekonany, że Maigret chce oszukiwać? Czy taką miał już naturę? Czy on sam, Lognon, choć raz w życiu oszukał kogoś?

Niech tylko Maigret odnajdzie swojego hetmana, który decydował o całej partii, a wybrnie z tego. Najlepiej przeszukać na nowo szachownicę, pole za polem. Hetman nie mógł się zgubić.

Zadzwoił telefon. Maigret wyciągnął rękę, przez chwilę nie mógł znaleźć wyłącznika lampki.

— Nicea do pana.

Budzik wskazywał dziesięć po pierwszej.

— To pan, szefie?

— Chwileczkę, Féret.

— Może źle, że pana obudziłem?

— Nie. Dobrześ zrobił.

Wypił łyk wody. Potem sięgnął po leżącą na stoliku fajkę. Na dnie było jeszcze trochę tytoniu. Zapalił.

— W porządku. Teraz możesz mówić.

— Nie miałem pojęcia, co robić. Ponieważ wiem o tej sprawie tylko tyle, ile o niej było w gazetach, trudno mi osądzić, co jest ważne, a co nie.

— Widziałeś się z tą Laboine?

— Właśnie od niej idę. Wróciła z Monte Carlo dopiero o wpół do dwunastej. Poszedłem tam. Mieszka w czymś, co przypomina pensjonat, w którym, jak się zdaje, są same takie stare wariatki jak ona. Ciekawe, że prawie wszystkie to były aktorki. Jest także eks-woltyżerka z jakiegoś cyrku, a szefowa, jeśli jej wierzyć, śpiewała kiedyś w operze. Nie potrafię panu opisać, co za atmosfera tam panuje. Nikt jeszcze nie spał. Wieczorami te, które nie siedzą w kasynie, grają w karty w salonie, w którym wszystko wygląda, jakby miało ze sto lat. Człowiek ma trochę wrażenie, że znalazł się w Muzeum Grevina*. Nudzę pana na pewno pana na pewno!

— Nie.

— Opowiadam to panu, bo wiem, że lubi pan osobiście wszystko sprawdzić i zobaczyć. A ponieważ nie mógł pan przyjechać...

— Mów dalej.

— Po pierwsze, nareszcie wiem, skąd ona się wzięła. Jej ojciec był nauczycielem w jakiejś mieścinie w departamencie Haute-Loire. Kiedy miała osiemnaście lat, wyjechała do Paryża i przez dwa lata była statystką w teatrze Chatelet. Pod koniec powierzono jej wykonanie kilku tanecznych pas w sztuce „W osiemdziesiąt dni dookoła świata” i w „Michel Strogonoff”. Potem przeniosła się do Folies-Bergere. W końcu wyjechała z trupą aktorów na swoje pierwsze tournée po Ameryce Południowej, gdzie była przez kilka lat. Niepodobna wyciągnąć od niej dokładniejszych dat, bo płacze się bez przerwy. Słyszysz mnie pan? Jeszcze raz przyszło mi na myśl, czy ona nie zażywa narkotyków. Ale przyglądając się jej z bliska doszedłem do

* Słynna paryska galeria figur woskowych założona w roku 1882 przez rysownika Alfreda Grevina (przyp. tłum.).

wniosku, że nie na tym rzecz polega. Ona jest po prostu nieinteligentna, a może nawet nie całkiem normalna.

— Nie wyszła za mąż?

— Do tego zmierzam. Miała koło trzydziestki, gdy zaczęła występować w kabaretach na Wschodzie. To było jeszcze przed wojną. Włóczyła się po Bukareszcie, Sofii, Aleksandrii. Przez wiele lat mieszkała w Kairze, i zdaje się, dotarła nawet do Etiopii. Musiałem wyciągać z niej to wszystko po troszku. Rozparła się w fotelu, rozcierając sobie spuchnięte nogi, a w pewnej chwili poprosiła, abym jej pozwolił rozpiąć gorset. Krótko mówiąc...

Te słowa przypomniały Maigretowi ciotkę Janiny Armenieu, pannę Poré, i jej nie kończący się monolog. Pani Maigret obserwowała go z na wpół otwartymi oczyma.

— Właśnie w Konstantynopolu, miała wtedy trzydzieści osiem lat, poznała niejakiego Van Crama.

— Jak on się nazywał?

— Juliusz Van Cram, prawdopodobnie Holender. Z tego, co mówiła, wynika, że wyglądał jak prawdziwy dżentelmen i mieszkał w Pera–Palace.

Maigret zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć, z czym kojarzy mu się to nazwisko. Był przekonany, że je słyszał już nie po raz pierwszy.

— Czy wiesz, ile on może mieć lat, ten Van Cram?

— Był od niej dużo starszy. W owym czasie musiał przekroczyć pięćdziesiątkę, to znaczy, że dziś miałby prawie siedemdziesiąt.

— Nie żyje?

— Nie wiem. Chwileczkę! Staram się opowiadać panu wszystko po kolei, żeby o niczym nie zapomnieć. Pokazała mi swoją fotografię z tamtych lat i muszę przyznać, że była to jeszcze piękna kobieta; już w pełni dojrzała, ale o bardzo miłej powierzchowności.

— Co robił ten Van Cram?

— Zdaje się, że niewiele ją to obchodziło. Władał biegle kilkoma językami, szczególnie angielskim i francuskim. Niemieckim także. Bywał na przyjęciach w rozmaitych ambasadach. Zakochał się w niej i przez jakiś czas żyli ze sobą.

— W Pera–Palace?

— Nie. Wynajął dla niej apartament w pobliżu hotelu. Niech pan mi nie ma za złe, szefie, że nie znam wszystkich szczegółów. Gdyby pan wiedział, ile mnie to kosztowało, zanim wyciągnąłem z niej te informacje! Co chwila wtrącała coś o jakiejś kobiecie, którą poznała w jednym z kabaretów, opowiadała jej historię, od czasu do czasu pojękując: „Wiem, te uważa mnie pan za złą matkę... W końcu zaproponowała mi kieliszek likieru. Jeśli nie jest narkomanką, to na pewno często zagłada — do butelki. „Nigdy przed pójdziem do kasyna!” — oświadczyła. „Kiedy gram, też nie piję. Najwyżej kropelkę potem, dla uspokojenia nerwów”“.

Wyjaśniła mi, że ze wszystkich zajęć, jakim oddają się ludzie, gra jest czynnością najbardziej wyczerpującą. Ale wracam do Van Crama. Po kilku miesiącach zdała sobie sprawę, że jest w ciąży. Coś takiego zdarzyło jej się po raz pierwszy. Nie mogła w to uwierzyć. Powiedziała o tym kochankowi, niemal pewna, że doradzi jej pozbycie się dziecka.

— Była gotowa to zrobić?

— Sama nie wie. Mówi o tym jak o złośliwym figlu, którego los jej wyplatał. „Powinnam była zająć w ciążę sto tysięcy razy przedtem, a zdarzyło mi się to akurat wtedy, kiedy miałam przeszło trzydzieści osiem lat!” Dosłownie tak powiedziała. Van Cram ani okiem nie mrugnął. W kilka tygodni później zaproponował jej małżeństwo.

— Gdzie się pobrali?

— W Konstantynopolu. To właśnie komplikuje całą sprawę. Jestem przekonany, że ona była w nim naprawdę zakochana. Zaprowadził ją do jakiegoś biura — ona nie wie dokładnie,

gdzie — tam podpisała jakieś dokumenty i złożyła przysięgę. Ponieważ zapewnił ją, że jest jego żoną, uwierzyła ,mu. Po kilku dniach zaproponował, żeby osiedlili się we Francji.

— Razem?

— Tak. Wsiedli na włoski statek płynący do Marsylii. — Czy paszport miała na nazwisko Van Cram?

— Nie. Pytałem ją o to. Podobno nie mieli czasu, aby zmienić jej paszport. Przez dwa tygodnie siedzieli w Marsylii, a następnie przenieśli się do Nicei. Tam przyszło na świat dziecko...

— Mieszkali w hotelu?

— Wynajęli dość wygodne mieszkanie niedaleko Promenade des Anglais. Dwa miesiące potem Van Cram wyszedł po papierosy i już nie wrócił; nie zobaczyła go nigdy więcej.

— Czy miała od niego jakieś wiadomości?

— Pisał do niej często: z Londynu, z Kopenhagi, to znów z Hamburga czy z Nowego Jorku i za każdym razem przysyłał jej pewną sumę pieniędzy.

— Dużo?

— Czasami tak. Kiedy indziej znów prawie nic. Prosił, żeby pisała o sobie, a przede wszystkim o ich córeczce.

— Robiła to?

— Tak.

— Zawsze na poste restante, prawda?

— Tak. Wtedy właśnie zaczęła grać. Córka rosła, chodziła do szkoły.

— Nigdy nie widziała swojego ojca?

— Miała dwa miesiące, gdy on wyjechał, i od tego czasu nie pokazał się we Francji, a w każdym razie jej nic nie było o tym wiadomo. Ostatni przekaz, sprzed roku, był dość okazały, ale ona przegrała wszystko w ciągu jednej nocy.

— Czy Van Cram nie pytał jej nigdy, gdzie jest córka? Wiedział, że wyjechała do Paryża?

— Tak. Tylko że matka nie знаła jej adresu.

— To wszystko, stary?

— Prawie. Mam wrażenie, że ona nie była całkiem szczerą mówiąc, że nic jej nie wiadomo o tym, w jaki sposób jej mąż zarabiał na życie... Aha, byłbym zapomniiał o najważniejszym... Kiedy przed kilkoma laty musiała przedłużyć swój dowód, chciała, aby go wystawiono na nazwisko Van Cram. Zażądano od niej świadectwa ślubu. Przedstawiła jedyny dokument, jaki miała, wystawiony w języku tureckim. Zbadano go starannie, wysłano nawet do konsulatu tureckiego. W końcu oznajmiono jej, że jest to zupełnie bezwartościowy papier i że nigdy w świecie nie była zamężna.

— Przejęła się tym?

— Ani trochę. Nic nie jest w stanie jej poruszyć, z wyjątkiem tego, jak widzi, że czerwone wychodzi dwanaście razy pod rząd, a ona stawia podwójnie na czarne. Słuchając jej, człowiek ma wrażenie, jakby była jakaś trochę nierealna. Ona żyje w zupełnie innym świecie niż my. Kiedy mówiłem jej o córce, ani przez moment nie okazała wzruszenia. Powiedziała tylko: „Mam nadzieję, że nie cierpiała zbyt wiele...”

— Myślę, że teraz pójdziesz wreszcie spać?

— Niestety! Muszę lecieć do Juan-les-Pins, gdzie właśnie przyskrzynili w kasynie jakiegoś oszusta... Czy będę panu jeszcze potrzebny, szefie?

— Na razie nie. Chwileczkę. Czy ona pokazała ci fotografię swojego eks-małżonka?

— Poprosiłem ją o to. Twierdziła, że w domu była tylko jedna, którą zrobiła mu bez jego wiedzy, gdyż miał uraz na punkcie fotografowania się. Wyjeżdżając do Paryża córka musiała ją zabrać, bo zdjęcie znikło.

— Dziękuję.

W chwilę później Maigret odwiesił słuchawkę i miał przyłożyć głowę do poduszki i zgasić światło, wstał, aby na nowo nabić sobie fajkę.

Wdowa Crémieux wspominała o fotografii, którą jej lokatorka przechowywała w portfelu, ale był zbyt zaprzątnięty sprawą samej dziewczyny, żeby zwrócić na to uwagę.

Stał w piżamie i w pantoflach na gołych nogach. Żona wołała o nic nie pytać. Być może pod wrażeniem niedawnego snu pomyślał o Lognonie. Zaledwie przed kilkoma godzinami, nie przywiązując do tego zbytnej wagi, obiecał mu: „Będę pana o wszystkim informował”.

Istnienie Juliusza Van Crama mogło zasadniczo wpłynąć na tok śledztwa.

— Zadzwoń do niego z samego rana — szepnął półgłosem.

— Co mówisz?

— Nic. Mówiłem do siebie.

Odszukał numer Fajtlapy przy placu, Constantin–Pecqueur.

W ten sposób nikt mu nie będzie mógł nic zarzucić.

— Halo!... Czy mogę prosić męża? Przepraszam, że panią budzę, ale...

— Nie spałam. Całymi nocami nie mogę zmrużyć oka. Zасыpiam najwyżej na godzinę, dwie.

To była pani Lognon, zgorzkniała i jęcząca.

— Mówi komisarz Maigret.

— Poznałam pana po głosie.

— Chciałbym zamienić kilka słów z pani mężem.

— Sądziłam, że jest z panem. W każdym razie powiedział mi, że właśnie pracuje dla pana.

— O której wyszedł z domu?

— Zaraz po kolacji. Zjadł szybko i zniknął, zapowiadając, że może nie wrócić na noc.

— Nie mówił pani, dokąd idzie?

— Tego mi nigdy nie mówi.

— Dziękuję pani.

— To nieprawda, że pracuje dla pana?

— Ależ oczywiście, prawda.

— A zatem jak to się stało, że pannie...

— Nie jest obowiązany zawiadamiać mnie o każdym swoim kroku.

Nie była przekonana; podejrzewała, że kłamie, by kryć jej męża, i zamierzała zdaje się indagować dalej, ale Maigret odłożył słuchawkę. Niezwłocznie zadzwonił do II komisariatu, gdzie zgłosił się posterunkowy Ledent.

— Jest tam Lognon?

— Nie zjawił się od wczoraj wieczór.

— Dziękuję ci. Gdyby przyszedł, powiedz mu, żeby zaraz zadzwonił do mnie do domu.

— Rozkaz, panie komisarzu.

I wtedy właśnie przemknęła mu przez głowę pewna brzydka myśl, podobna do tej, jaka nawiedziła go we śnie. Ni stąd, ni zowąd zaniepokoił się tym, że Lognona nie ma ani w domu, ani w biurze i nikt nie ma pojęcia, co w tej chwili może robić. Śledztwo w nocnych lokalach było skończone, przesłuchiwanie taksówkarzy również. Nie ulega kwestii, że wizyta u „Romea” także nie posunęłaby już sprawy naprzód.

A jednak Lognon spędzał noc na łowach. Czyżby to znaczyło, że wpadł na trop?

Maigret nigdy nie zazdrościł kolegom, jeszcze mniej inspektorom. Kiedy jednak sprawa kończyła się sukcesem, niemal zawsze przyznawał im główną zasługę. Rzadko udzielał wywiadów do prasy. Nawet dzisiejszego popołudnia dziennikarzy robiących kronikę wypadków przyjmował w komendzie Łukasz.

Jednak tym razem nie mógł opanować zdenerwowania. Bo nie da się ukryć, że podobnie jak w partii szachów, którą rozgrywali we śnie, Lognon był zupełnie sam, podczas gdy

Maigret miał za sobą policję kryminalną, nie licząc wszystkich brygad i całej policyjnej maszyny.

Zaczerwienił się, uprzytomniwszy sobie to wszystko, co nie przeszkadzało, że miał ochotę ubrać się i pojechać na Quai des Orfèvres. Miał tam co robić, teraz, kiedy już wiedział, kim jest człowiek, którego zdjęcie Ludwika Laboine wykradła matce i tak pieczołowicie przechowywała.

Pani Maigret patrzyła, jak mąż idzie do jadalni, otwiera kredens i nalewa sobie kieliszek śliwowicy.

— Nie kładziesz się?

Logicznie rzecz biorąc, powinien był wyjść i instynkt skłaniał go ku temu. Jeśli mimo to nie posłuchał, uczynił tak dlatego, że chciał Lognonowi dać szansę, a zarazem ukarać siebie za swoje brzydkie myśli.

— Gryziesz się tą sprawą?

— Jest dosyć zawiła.

Ciekawa rzecz zresztą. Dotychczas nie myślał bowiem wcale o mordercy, tylko o jego ofierze; na niej ogniskowało się całe dochodzenie. Teraz, kiedy człowiek w końcu poznał ją lepiej, można było zadać sobie pytanie, kto był jej zabójcą.

Co mógł teraz robić Lognon? Wyrzwał przez okno. Na bezchmurnym niebie stał księżyc w pełni. Już nie padało. Dachy połyskiwały blado.

Opróżnił fajkę, legł ciężko na łóżku i całując żonę powiedział:

— Zbudź mnie o tej porze co zawsze.

Tym razem spał bez snów. Kiedy rano siedząc w łóżku pił kawę, świeciło słońce. Lognon nie zadzwonił, oznaczało to, że nie zjawił się w biurze, nie wrócił również do domu.

Na Quai des Orfèvres wysłuchał bez słowa raportów i nie zwlekając poszedł na poddasze. Tam, na kilometrowej długości półkach, stały rzędem akta tych wszystkich, którzy kiedykolwiek weszli w konflikt z prawem. Dyżurny funkcjonariusz był ubrany w popielaty fartuch, który nadawał mu wygląd magazyniera; w powietrzu unosiła się woń starych papierzyśk, niczym w jakiejś bibliotece.

— Mógłbyś z łaski swojej sprawdzić, czy masz coś pod nazwiskiem Van Cram, Juliusz Van Cram?

— To jakaś świeża sprawa?

— Może sprzed jakich dwudziestu lat albo i więcej.

— Zaczeka pan?

Maigret usiadł. Po dziesięciu minutach kierownik archiwum przyniósł mu teczkę podpisaną „Van Cram”, ale chodziło o niejakiego Józefa Van Crama, urzędnika paryskiego towarzystwa ubezpieczeń, mieszkającego przy ulicy Grenelle, którego dwa lata temu skazano za fałszerstwa i posługiwanie się podrobionymi dokumentami, i który miał tylko dwadzieścia osiem lat.

— Nie ma innych Van Cramów?

— Jeszcze tylko jeden Von Kramm, przez K i dwa m na końcu, ale ten zmarł w Kolonii dwadzieścia cztery lata temu.

Na dole były jeszcze inne akta obejmujące nie tylko tych, którzy mieli jakieś wyroki, ale wszystkich, z którymi policja miała kiedykolwiek — do czynienia. Był tam i Van Cram z towarzystwa ubezpieczeń i Von Kramm z Kolonii.

Przeoglądając wykaz międzynarodowych przestępców i eliminując wszystkich, którzy nigdy nie byli na Bliskim Wschodzie i których wiek nie odpowiadał wiekowi męża pani Laboine, Maigret dotarł w końcu do kilku fiszek, z których jedna zawierała następującą wzmiankę:

„Hans Ziegler alias Ernst Marek alias John Donley alias Joey Hogan alias Jan Lemke (prawdziwe nazwisko i pochodzenie nie znane). Specjalność: kradzieże »na jelenia«. Włada

biegle francuskim, angielskim, niemieckim, holenderskim, włoskim i hiszpańskim. Trochę polskim”.

Trzydzieści lat temu policja praska rozesłała do wszystkich krajów fotografie niejakiego Hansa Zieglera, który działając przy pomocy współnika wyłudził podstępnie pokaźną sumę. Hans Ziegler utrzymywał, że urodził się w Monachium, i podówczas nosił blond wąsiki.

Londyn poznał wkrótce tego samego osobnika pod nazwiskiem Johna Donleya urodzonego w San Francisco; w Kopenhadze aresztowano go jako Ernsta Marka.

W innych miejscowościach był znany jako: Joey Hogan, Jules Stieb, Karl Spangler.

Z biegiem lat zmienił się także jego wygląd. Z początku był mężczyzną wysokim i szczupłym mimo grubokościstej budowy. Powoli nabierał tuszy, a wraz z nią pewnej powagi i godności.

Nosił się wytwornie, ubierał z wyszukaną elegancją. Przebywając w Paryżu mieszkał w pierwszorzędnym hotelu przy Champs–Elysées, w Londynie — w Savoyu. Wszędzie obracał się w najbardziej ekskluzywnych kręgach, posługując się opracowanymi od dawna przez innych metodami, które jednak stosował z niezwykłym wprost talentem.

Nigdy nie działał sam, ale o jego współniku wiadomo było tylko tyle, że był młodszy od niego i miał akcent charakterystyczny dla wschodu Europy.

Wynajdywali sobie ofiarę w jakimś eleganckim Barze, faceta ładowanego, najchętniej jakiegoś przemysłowca albo kupca z prowincji.

Po kilku szklaneczkach w towarzystwie upatrzonego „jelenia” Jan Lemke albo, zależnie od okoliczności, Jules Stieb czy John Donley zaczynał narzekać na nieznaną krajowi.

„Muszę koniecznie znaleźć kogoś godnego zaufania” — mówił. — „Obarczono mnie pewną kłopotliwą misją, zastanawiam się, w jaki sposób dobrze się z tego wywiązać. Boję się bardzo, żeby mnie ktoś nie kiwnął”.

Dalszy ciąg opowieści bywał różny, ale istota była zawsze ta sama. Pewna ogromnie bogata starsza dama, najlepiej Amerykanka, jeśli rzecz działa się w Europie, wręczyła mu była pokaźną sumę, którą miał rozdzielić między niewielkie grono zasługujących na to osób. Gotówka leżała u niego w pokoju na górze. Ale jakżeż w zupełnie obcym kraju wyznać się, kogo należałoby wziąć pod uwagę?

Ach, prawda! Starsza pani wyraźnie zaznaczyła, że pewną część sumy, na przykład jedną trzecią lub czwartą, można przeznaczyć na pokrycie kosztów.

Czy jego nowy przyjaciel... — bo wszak jest jego przyjacielem, prawda? — człowiek uczciwy i zacny, nie zgodziłby mu się pomóc? Rzecz jasna, że ta jedna trzecia, o której mowa, byłaby wtedy do podziału... to całkiem niezła sumka.

On sam musi być ostrożny, uważa nawet, że powinien mieć jakieś gwarancje... Gdyby jego przyjaciel ze swej strony złożył pewną kwotę w banku, aby poświadczyć swoją dobrą wolę...

„Niech pan chwileczkę poczeka... Albo nie, lepiej niech pan uda się ze mną na górę”...

W pokoju leżały pieniądze. Pełna teczka banknotów w grubych plikach.

„Bierzmy je, po drodze wstąpimy do pańskiego banku, gdzie podejmie pan tę gwarancję”...

Suma także zmieniała się w zależności od kraju.

„Zdeponujemy wszystko na moim koncie, a ja wręcę panu teczkę; potem rozda pan tylko jej zawartość, zatrzymując sobie swoją należność”...

W taksówce teczka z pieniędzmi leżała między nimi. Ofiara podejmowała „gwarancję”. Przed „swoim” bankiem, najczęściej był to duży gmach w centrum miasta, Lemke alias Stieb alias Ziegler itd... zostawiał walizkę pod opieką swojego towarzysza.

„Wyskoczę tu na momencik”...

Wyskakiwał z pieniędzmi, które „jelen” wręczył mu jako „gwarancję” i przepadał jak kamień w wodzie; ofiara szybko przekonywała się, że pliki pieniędzy były tylko pociętą na kawałki gazetą obłożoną z dołu i z góry kilkoma prawdziwymi banknotami.

W większości wypadków, kiedy udało się go aresztować, człowiek ten nie miał przy sobie nic obciążającego. Łup zniknął, przekazany współpracownikowi w tłumie otaczającym bank.

W uzupełnieniu kartoteki, jedynym, jakie w ogóle było, nadesłanym przez policję duńską, zanotowano:

„Według informacji, których wiarygodności nie udało się sprawdzić, ma to być obywatel holenderski o nazwisku Juliusz Van Cram, urodzony w Groningen. Pochodzący z dobrej rodziny Van Cram, jako dwudziestodwuletni chłopak pracował w jednym z banków amsterdamskich, którym kierował jego ojciec. Już wtedy władał biegle kilkoma językami, otrzymał znakomite wychowanie i był członkiem Yacht Clubu w Amsterdamie.

W dwa lata później zniknął, a w kilka tygodni potem spostrzeżono, że przywłaszczył sobie część bankowych kapitałów”.

Nie udało się, niestety, uzyskać fotografii tego Van Crama, nie było także odcisków jego palców.

Porównując daty Maigret zrobił jeszcze jedno interesujące odkrycie. W przeciwieństwie do innych przestępców, człowiek ten rzadko pracował dwa razy w tym samym miejscu i w krótkich odstępach czasu. Przygotowywał skok całymi tygodniami, a nawet miesiącami, i zawsze łup był pokaźny.

Mijało przeważnie kilka lat, zanim odnajdywał się gdzieś na drugim końcu świata, odgrywając znów tę samą rolę, równie zręcznie i z tą samą perfekcją w każdym szczególe.

Czy nie wskazywało to wyraźnie, że następną akcję planował dopiero wtedy, gdy oszczędności miały się ku końcowi? Może trzymał coś na czarną godzinę? A może melinował gdzieś całą forszę?

Jego ostatni wyczyn zanotowano przed sześcioma laty: było to w Meksyku.

— Pozwól tu na chwilę, Łukaszu.

Młody inspektor popatrzył ze zdumieniem na teczkę akt piętrzącą się na biurku.

— Chciałbym, abyś nadał kilka telegramów. Przedtem poślij kogoś do wdowy Crémieux na ulicę Clichy, aby upewnić się, czy ten osobnik jest faktycznie mężczyzną, którego fotografię widziała w torebce swojej lokatorki.

Komisarz wręczył Łukaszowi wykaz krajów, w jakich działał Van Cram, wraz ze spisem nazwisk, pod którymi był tam znany.

— Zadzwoń także do Féreta, do Nicei. Niech pójdzie jeszcze raz do pani Laboine i spróbuje od niej wyciągnąć daty i miejsca nadania przekazów, które od niego dostawała. Wątpię, żeby przechowywała odcinki, ale trzeba spróbować tej szansy.

Przerwał nagle.

— Żadnych wiadomości o Lognonie?

— Miał dzwonić?

— Nie wiem. Możesz mnie połączyć z jego mieszkaniem?

Telefon odebrała pani Lognon.

— Czy pani mąż wrócił?

— Jeszcze nie. Ciągłe nie wie pan, gdzie on jest?

Była zdenerwowana; on także zaczynał odczuwać niepokój.

— Przypuszczam — powiedział chcąc ją uspokoić — że w związku z tym śledztwem musiał wyjechać poza miasto.

Słowa „śledztwo” użył trochę na „wyróst”, w zamian musiał wysłuchać całej litanii narzekań pani Lognon, że za każdym razem zwała się na jej męża najbardziej niewdzięczne i niebezpieczne misje.

Czy mógł jej powiedzieć, że ilekroć Lognon popadał w jakieś tarapaty, zawsze był to wynik jego działania na własną rękę i przeważnie wbrew otrzymanym instrukcjom?

Tak bardzo usiłował zrobić wszystko na medal, tak ogromnie pragnął się odznaczyć, że rzucał się naprzód z zamkniętymi oczyma, za każdym razem głęboko przekonany, iż teraz wreszcie dowiedzie, ile naprawdę jest wart. A tego właśnie nie musiał nikomu dowodzić. On sam był jedynym, który nie zdawał sobie z tego sprawy.

Maigret zadzwonił na II komisariat. Tam również nie mieli wiadomości o Fajtłapie.

— Czy nikt go nie widział gdzieś w pobliżu?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

W sąsiednim pokoju Łukasz, wysławszy wprzód jednego z inspektorów na ulicę Clichy, nadawał depeszę przez telefon. Stojąc w progu Janvier czekał, aż Maigret odłoży słuchawkę, aby zapytać go o instrukcje.

— Zdaje mi się, że komisarz Priollet chce się z panem widnieć. Wstępował tu przed chwilą, ale pana nie było.

— Byłem na górze.

Maigret udał się do Priolleta, który przesłuchiwał jakiegoś handlarza narkotyków o wąskich, zaciśniętych nozdrzach i oczach otoczonych czerwoną obwódką.

— Nie wiem, czy cię to jeszcze interesuje. Być może otrzymałeś tę informację skądinąd. Dziś rano powiedziano mi, że Janina Armenieu wynajmowała dość długo pokój przy ulicy Ponthieu.

— Wiesz, pod którym?

— Nie. To jest niedaleko ulicy de Berri, na parterze mieści się bar.

— Dziękuję ci. Nic nowego o Santonim?

— Nic. Nie sądzę, żeby można mu było cokolwiek zarzucić; musi tam sobie słodko gruchać w tej Florencji.

Maigret znalazł Janviera w biurze.

— Bierz płaszcz i kapelusz.

— Dokąd jedziemy?

— Na ulicę Ponthieu.

Niewykluczone, że dowie się czegoś więcej o zamordowanej dziewczynie. Ciągłe jeszcze była na pierwszym planie. Ale istniał także ten przeklęty Lognon, który zaczynał odgrywać coraz ważniejszą rolę. Niestety, trudno było w tej chwili przewidzieć, jaką.

— Ten, kto pierwszy powiedział: „Nie przesadzajmy”, miał cholerną rację — mruknął komisarz wkładając płaszcz.

Było mało prawdopodobne, aby Fajtłapa do tej pory włóczył się po mieście, sprawdzając jeden adres po drugim. Jeszcze wczoraj o piątej po południu, o ile można było sądzić — a w jego przypadku nie było bynajmniej łatwo o jakikolwiek osąd — a więc jeszcze wczoraj nie był na żadnym tropie.

Wrócił do domu, zjadł kolację i natychmiast wyszedł.

Opuszczając biuro Maigret wsunął głowę do pokoju inspektorów.

— Niech któryś z was na wszelki wypadek obdzwoni wszystkie dworce i sprawdzi, czy Lognon nie wsiadł do jakiegoś pociągu.

Na przykład za kimś, kogo akurat obserwował. To było całkiem możliwe. W tej sytuacji mógł nie mieć okazji zatelefonować do komendy albo do domu.

Ale to by znaczyło, że jest w posiadaniu jakichś informacji, których oni nie mają.

— Jedziemy, szefie?

— Dobra.

Maigret, nachmurzony, zatrzymał się przy placu Dauphine, aby wypić szklaneczkę.

To nieprawda, że był zazdrosny o Lognona. Gdyby tamtemu udało się wykryć mordercę Ludwiki Laboine, wszystko byłoby w porządku. Jeśli go aresztował, należałyby mu się wielkie brawa!

Ale, do cholery, mógł przecież, jak każdy normalny człowiek, dać znać o sobie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

*O pewnym inspektorze, który ubiega wszystkich,
i dziewczynie idącej na spotkanie z przeznaczeniem.*

Podczas gdy Janvier wszedł do kamienicy, żeby zasięgnąć informacji, Maigret z rękami w kieszeniach stał na skraju chodnika, myśląc sobie, że ulica Ponthieu wygląda trochę jak kulisy albo kuchenne schody Champs–Elysées. Każda wielka paryska arteria ma takS, często biegnącą równolegle, węższą i ruchliwszą uliczkę, przy której mieszczą się małe bary i sklepiki spożywcze, szoferskie knajpki i tanie hoteliki, zakłady fryzjerskie i dziesiątki różnych warsztatów usługowych.

Była tam także niewielka winiarnia i Maigret właśnie miał ochotę wstąpić, gdy zjawił się Janvier.

— To tutaj, szefie.

Od razu trafili na właściwy dom. Mieszkanie dozorczyńni było równie ciemne jak w większości paryskich kamienic, ale konsjerżka wyglądała młodo, apetycznie, a mały berbec rozrabiał w kojcu z lakierowanego drewna.

— Panowie też są z policji, prawda?

— Dlaczego pani mówi — też? *

— Bo wczoraj wieczór był tu już jakiś policjant. Akurat kładłam się spać. Niski człowiek z taką smętną miną; zanim zobaczyłam, że ma katar, byłam pewna, że płacze po stracie żony.

Trudno się było nie uśmiechnąć słysząc ten opis Fajtlapy.

— Która to mogła być godzina?

— Koło dziesiątej. Rozbierałam się właśnie za parawanem i prosiłam, żeby zaczekał. Panowie w tej samej sprawie?

— Przypuszczam, że wypytywał panią o pannę Armenieu?

— Tak, i o jej przyjaciółkę, tę która została zamordowana.

— Rozpoznała pani jej fotografię w gazecie?

— Tak.

— Mieszkała u pani?

— Proszę, niechże panowie usiądą. Pozwolicie, że będę dalej robiła obiad małemu? Jeśli panom za ciepło, proszę się nie krępować i zdjąć płaszcze.

Po chwili zapytała:

— To panowie nie są z tego samego oddziału, co ten pan wczoraj? Sama nie wiem, po co pytam. To nie moja rzecz. Jak już powiedziałam koledze panów, prawdziwą lokatorką, tą, na której nazwisko było mieszkanie, była panna Armenieu, panna Janka, jak ją nazywałam. Właśnie wyszła za mąż. Pisali o tym w gazetach. Panowie wiedzą, prawda?

Maigret skinął potakująco głową.

— Czy ona długo mieszkała u pani?

— Mniej więcej dwa lata. Jak przyjechała, była jeszcze bardzo młodziutka i niezaradna i często przychodziła do mnie po radę.

— Pracowała gdzieś?

— — Była wtenczas maszynistką w jakimś biurze, niedaleko stąd, nie wiem dokładnie, gdzie. Wynajęła małe mieszkanko na trzecim piętrze, wprawdzie od podwórza, ale ładne.

— Przyjaciółka nie mieszkała z nią?

— Owszem. Tylko jak mówiłam, to ona płaciła czynsz i umowa była na jej nazwisko.

Kobieta odpowiadała chętnie i gładko. Szło jej tym łatwiej, że udzielała już tych samych informacji poprzedniego dnia.

— Wiem z góry, o co pan zapyta. Wyprowadziły się jakieś pół roku temu. Ściślej mówiąc, panna Janka wyniosła się pierwsza.

— Myślałem, że mieszkanie było na jej nazwisko?

— Tak. To było jakoś pod koniec miesiąca; brakowało może trzy–cztery dni. Któregoś wieczoru panna Janka weszła, usiadła na tym miejscu, gdzie akurat pan siedzi, i powiedziała: „Mam tego dość, pani Marcelino. Tym razem postanowiłam zrobić z tym koniec”.

Maigret zapytał:

— Z czym chciała skończyć?

— No z tamtą, jej przyjaciółką, Ludwiką.

— Nie zgadzały się ze sobą?

— Właśnie to chciałabym panu wyjaśnić. Panna Ludwika nigdy nie wstępowała, żeby sobie ze mną pogwarzyć, i nie wiem o niej prawie, nic, prócz tego, co mówiła jej przyjaciółka, tak że znam tylko jedną wersję. Z początku myślałam, że to są siostry albo kuzynki, albo może przyjaźnią się od dziecka. Potem panna Janka powiedziała mi, że po prostu spotkały się w pociągu jakieś dwa czy trzy miesiące temu.

— Nie lubiły się?

— I tak, i nie. Trudno powiedzieć. Mieszkało tu już sporo dziewcząt w ich wieku. Jeszcze teraz są dwie, które występują w „Lido”. Trzecia jest manikiurzystką w hotelu „Claridge”. Większość zwierza mi się ze swoich radości i kłopotów. Panna Janka tak samo. Natomiast ta druga, Ludwika, nigdy nic nie mówiła. Długi czas myślałam, że była dumna, później zaczęłam się zastanawiać, czy to nie przez nieśmiałość, ale chyba tak.

Widzi pan, kiedy te małe przyjeżdżają do Paryża i czują się zagubione wśród tych milionów ludzi, to albo blefują, udają pewne siebie, mówią głośno, albo zamykają się w sobie.

Panna Janka należała raczej do tych pierwszych. Nic jej nie przerażało. Wychodziła prawie co wieczór. Po kilku tygodniach zaczęła wracać o drugiej, trzeciej nad ranem; nauczyła się, co i jak nosić. Mieszkała najwyżej trzy miesiące, a już usłyszałam, że wchodzi na górę z jakimś mężczyzną.

Nie obchodziło mnie to. Była u siebie. W końcu to nie jest pensjonat.

— Czy każda z nich miała swój pokój?

— Tak. I co z tego! Ludwika i tak wszystko słyszała, a rano musiała nieraz czekać, aż ten facet wyjdzie, aby się umyć albo przejść do kuchni.

— I to właśnie było powodem sprzeczek?

— Nie wiem na pewno. W ciągu dwu lat może się sporo wydarzyć, a ja mam tutaj dwadzieścia dwie lokatorki. Nie mogłam przewidzieć, że jedną z nich ktoś zabije.

— Co robi pani mąż?

— Jest kierownikiem sali w restauracji przy placu Ternes. Nie przeszkodzi to panu, że dam małemu jeść?

Posadziła berbecia na jego krzeselku i — nie tracąc wątku — zaczęła karmić go łyżeczką.

— Opowiedziałam wszystko już wczoraj pańskiemu koledze, który sobie to pozapisywał. Jeśli pan chce znać moje zdanie, panna Janka wiedziała dobrze, czego chce, i zdecydowana była osiągnąć to — wszystko jedno jak. Nie zadawała się z byle kim. Większość tych panów, którzy się tu przewinęli, miała swoje wozy; widziałam je rano przed bramą, wystawiając pojemniki ze śmieciami. Niekoniecznie musieli być młodzi. Ale i nie starzy. Właśnie to chcę panu wytłumaczyć — nie chodziło wyłącznie o przyjemność.

Kiedy się mnie o coś pytała, od razu wiedziałam, do czego ona zmierza. Na przykład, jeśli jej wyznaczono spotkanie w jakiejś restauracji, której nie знаła, starała się dowiedzieć, czy to elegancki lokal, czy nie, co trzeba na siebie włożyć itp.

Po niespełna pół roku znała niektóre lokale i pewnych ludzi w Paryżu jak własną kieszeń.

— Czy nigdy nie zabierała ze sobą przyjaciółki?

— Tylko wtedy, gdy szła do kina.

— Co Ludwika robiła wieczorami?

— Przeważnie siedziała w domu. Czasami szła na krótki spacer, ale nigdy nie zapuszczała się daleko, zupełnie jakby się czegoś bała. Były prawie w tym samym wieku, ale w porównaniu z tamtą panna Ludwika była niemal dzieckiem. To właśnie czasami doprowadzało pannę Jankę do rozpacz. Kiedyś powiedziała do mnie: „Gdybym mogła usnąć wtedy, w tym pociągu, zamiast z nią gadać!”

A jednak, jestem pewna, że — szczególnie na początku — była zadowolona, że miała do kogo otworzyć usta. Być może pan również zauważył, że te wszystkie dziewczyny przyjeżdżające szukać szczęścia w Paryżu, prawie zawsze trzymają się po dwie. Dopiero potem zaczynają się powoli nie znosić.

Tak właśnie było i teraz, i to tym szybciej, że panna Ludwika nie umiała się przystosować i nigdy nie była na jednej posadzie dłużej niż kilka tygodni. Nie miała żadnego wykształcenia. Zdaje się, że pisała z błędami ortograficznymi, i to nie pozwalało jej pracować w biurze. Kiedy udało jej się zaczepić gdzieś jako sprzedawczyni, zawsze musiało się coś zdarzyć; jak nie szef chciał się z nią przespać, to przynajmniej kierownik działu.

Zamiast delikatnie dać — im do zrozumienia, że to nie jest w jej stylu, unosiła się, dawała im po twarzy albo wylatywała trzaskając drzwiami. Pewnego razu, kiedy w zakładzie zdarzyła się jakaś seria kradzieży, podejrzenie padło właśnie na nią, mimo że była czysta jak łąka.

Zaznaczam, że to wszystko wiem od jej przyjaciółki. Sama pamiętam tylko, że zdarzały się długie okresy, kiedy panna Ludwika nie miała pracy; wychodziła wtedy z domu później niż zwykle i uganiała się po wszystkich adresach, które znalazła w drobnych ogłoszeniach.

— Czy jadały u siebie na górze?

— Prawie zawsze, z wyjątkiem dni, kiedy pannę Jankę zapraszali gdzieś jej przyjaciele. Poprzedniego roku obydwie były tydzień w Deauville. Ściślej mówiąc, wyjechały razem, ale mała — to znaczy Ludwika — wróciła pierwsza. Janka przyjechała dopiero parę dni później. Nie wiem, co się tam zdarzyło. Jakiś czas nie rozmawiały ze sobą, ale w dalszym ciągu mieszkały razem.

— Czy do Ludwiki przychodziły jakieś listy?

— Tak. Ale nigdy prywatne. Byłam nawet przekonana, że to sierota. Jej przyjaciółka powiedziała mi, że Ludwika miała matkę, gdzieś na Południu, na pół wariatkę, która się o nią wcale nie troszczyła. Od czasu do czasu, gdy panna Ludwika odpowiadała pisemnie na ogłoszenia, otrzymywała jeden czy drugi list z firmowym nagłówkiem; wiedziałam dobrze, co to oznacza.

— A Janina?

— Co dwa albo trzy tygodnie dostawała list z Lyonu. Ma tam ojca, który jest wdowcem. Później — przede wszystkim pneumatyki* z zaproszeniami na randki.

— Jak dawno Janina powiedziała pani, że ma ochotę pozbyć się twojej przyjaciółki?

— Zaczęła o tym mówić chyba rok temu, może półtora, ale to było zawsze wtedy, kiedy się o coś pokłóciły albo gdy tamtą znów wyrzucili z kolejnej posady. Janka wzdychała: „I pomyśleć, że opuściłam ojca, żeby być wolną, a wzięłam sobie na kark tę idiotkę!”

Jestem przekonana, że już nazajutrz albo najdalej na trzeci dzień była zadowolona, że ma ją koło siebie. To było trochę tak jak w małżeństwie. Przypuszczam, że panowie obaj są żonaci?

— Janina Armenieu rozstała się z panią przed sześcioma miesiącami, prawda?

— Tak. Ostatnio bardzo się zmieniła. Lepiej się ubierała, to znaczy nosiła droższe suknie, chodziła do lokali o klasę lepszych niż te, w których bywała dotychczas. Zdarzało się, że nie wracała do domu przez dwa, trzy dni z rzędu. Dostawała kwiaty, bombonierki firmy „Markiza de Sévigné”. Wtedy rozumiałam.

* Poczta pneumatyczna — automatyczna aparatura, działająca tylko w obrębie wielkiego Paryża; listy przesyłane są specjalnymi „rurociągami” i natychmiast doręczane adresatowi (przyj. tłum.).

I rzeczywiście pewnego wieczoru przyszła do mnie do dozorcówki i oświadczyła: „Tym razem zabieram się na dobre, pani Marcelino. Nie mam nic przeciwko mieszkaniu tutaj, ale nie mogę wiecznie być uwiązana do tej dziewczyny”. „Chyba nie wychodzi pani za męża?” — zażartowałam. Nie roześmiała się i szepnęła: „Nie w tej chwili. W odpowiednim czasie dowie się pani o tym z gazet”.

Musiała już wtedy znać pana Santoniego. Miała pewną siebie minę i uśmiechała się znacząco. Żartobliwie ciągnęłam dalej: „Zaproś mnie pani na wesele?” „Tego nie obiecuję, ale przyślę pani coś ładnego w prezencie”.

— Dotrzymała przyrzeczenia? — spytał Maigret.

— Jeszcze nie. Ale chyba to zrobi. Jakby nie było, dopięła swego i spędza miodowy miesiąc we Włoszech. Wracając jeszcze do tamtego wieczoru, powiedziała mi, że wyprowadza się, nie mówiąc przyjaciółce ani słowa, i że postara się, aby Ludwika jej nie odnalazła. „Gotowa się mnie znów ucześcić!”

Zrobiła dokładnie tak, jak zapowiedziała; korzystając z tego, że tamta wyszła, spakowała obie swoje walizki i dla wszelkiej pewności nawet mnie nie zostawiła adresu. „Wpadnę od czasu do czasu zobaczyć, czy jest dla mnie jakaś poczta”.

— Widziała ją pani później?

— Może trzy albo cztery razy. Ale mieszkanie było jeszcze opłacone na kilka dni naprzód. Ostatniego ranka panna Ludwika przyszła do mnie i oznajmiła, że zmuszona jest się wyprowadzić. Przyznaję, że zrobiło mi się jej żal. Nie płakała. Kiedy mi to mówiła, drżały jej wargi i widać było, że jest zupełnie bezradna. Jako cały bagaż miała tylko małą niebieską walizkę. Zapytałam, dokąd ma zamiar iść; odpowiedziała, że nie ma pojęcia. „Jeśli pani chce zostać jeszcze kilka dni, dopóki nie znajdę lokatora...” „Bardzo pani dziękuję, ale wolę nie...”

To było zupełnie do niej podobne. Widziałam, jak szła chodnikiem, z walizką w ręce, i kiedy skręciła za rogiem, miałam przez chwilę ochotę ją zawołać i dać jej trochę pieniędzy.

— Czy ona także panią odwiedzała?

— Tak, ale nie po to, żeby się ze mną zobaczyć. Chodziło jej tylko o adres przyjaciółki. Powiedziałam, że sama go nie znam. Ale chyba mi nie uwierzyła.

— Dlaczego chciała ją odnaleźć?

— Może po to, aby znów być z nią razem, a może by ją poprosić o pieniądze. Sądząc po tym, jak wyglądała, nietrudno było zgadnąć, że nie powodzi jej się za dobrze.

— Kiedy zjawiała się po raz ostatni?

— Może trochę więcej jak miesiąc temu. Na stole leżała gazeta, którą akurat czytałam. Z pewnością nie powinnam zrobić tego, co zrobiłam. „Nie wiem, gdzie ona mieszka — powiedziałam — ale właśnie piszą o niej w gazecie”. To prawda. Było tam napisane coś w tym guście: „U »Maxima« co wieczór można spotkać Marka Santoniego, przedstawiciela wytwórni wermutów, w towarzystwie czarującej modelki Janiny Armenieu”.

Maigret spojrział na Janvier, który zrozumiał bez słowa. Równo miesiąc temu Ludwika Laboine wybrała się po raz pierwszy na ulicę Douai, aby pożyczyć u „Panny Ireny” wieczorową suknię. Czyż nie zrobiła tego z zamiarem udania się do „Maxima”, by spotkać się z przyjaciółką?

— Nie wie pani, czy widziała się z nią?

— Nic z tego nie wyszło. Kilka dni temu panna Janka zjawiała się u mnie i kiedy ją o to spytałam, wybuchnęła śmiechem. „Owszem, chodzimy często na kolację do »Maxima«, ale przecież nie co dzień — powiedziała. — Poza tym nie sądzę, aby wpuszczono tam tę biedną Ludwikę”.

Maigret zapytał:

— Czy pani opowiedziała to wszystkowi inspektorowi, który tu był wczoraj wieczorem?

— Może nie tak dokładnie, bo o niektórych rzeczach przypominałam sobie dopiero potem.

— Nie powiedziała mu pani nic więcej?

Maigret zastanawiał się, który z usłyszanych przed chwilą faktów mógł naprowadzić Lognona na jakiś ślad. Poprzedniego dnia o dziesiątej wieczorem Lognon był tu, w tym samym pokoju. Od tej chwili słuch o nim zaginął.

— Przepraszam panów na sekundę, chcę tylko położyć synka spać.

Dozorczyzni wytarła małemu buzię, przewinęła go na stole, po czym znikła z nim w niewielkiej mszy, skąd dały się słyszeć czułe szepty.

Kiedy wróciła, miała minę jakby nieco bardziej stroskaną.

— Zastanawiam się teraz, czy to wszystko, co zaszło, nie stało się z mojej winy. Żeby chociaż te dziewczęta nie robiły takich tajemnic, o ileż by wszystko było prostsze! Że panna Janka nie zostawiła mi swego adresu, bo nie chciała, aby przyjaciółka zawracała jej głowę — to jeszcze mogę zrozumieć. Ale tamta, to znaczy panna Ludwika, mogła przecież dać mi swój adres.

Z dziesięć dni temu, może trochę więcej, nie pamiętam dokładnie, zjawił się jakiś mężczyzna i pytał, czy mieszka tu niejaka Ludwika Laboine.

Odpowiedziałam, że nie, że wyprowadziła się przed paroma miesiącami, ale jest jeszcze w Paryżu; nie znam jej adresu, ale zagląda do mnie od czasu do czasu.

— Co to był za człowiek? »

— Jakiś cudzoziemiec. Sądząc z akcentu, musiał to być albo Anglik, albo Amerykanin. Ale nie z tych bogatych, eleganckich facetów. Drobny, szczupły człowieczek, który — o, wie pan — przypominał trochę tego inspektora, który tu był. Nie wiem czemu, skojarzył mi się z cyrkowym błaznem. Sprawiał wrażenie zmartwionego, z naciskiem wypytywał, Czy sądzę, że panna Ludwika wkrótce się zjawi. „Może jutro, może za miesiąc” — odpowiedziałam. „Zostawię dla niej karteczkę”.

Usiadł przy stole, poprosił o papier i kopertę, i zaczął pisać coś ołówkiem. Wsunęłam list — do pustej przegródki na korespondencję i więcej o tym nie myślałam.

Kiedy w trzy dni później ten człowiek zjawił się ponownie, list leżał ciągle na swoim miejscu; facet miał minę jeszcze bardziej zmartwioną. „Nie mogę długo czekać — rzekł. — Wkrótce będę musiał wyjechać”. Zapytałam, czy to coś ważnego, a on odpowiedział: „Dla niej — tak. Nawet bardzo”.

Zabrał list i napisał drugi; tym razem trwało to sporą chwilę, jak gdyby musiał się na coś zdecydować. W końcu podał mi kartkę z westchnieniem.

— Więcej go pani nie widziała?

Tylko wtedy, jak był drugi raz. W trzy dni potem, po południu, przyszła panna Janka. Była bardzo podniecona i oświadczyła: „Niedługo przeczyta pani o mnie w gazetach”.

Robiła właśnie sprawunki w pobliskich sklepach i była obładowana mnóstwem paczek z nalepkami najlepszych magazynów. Powiedziałam jej o liście dla panny Ludwiki i o wizytach chudego człowieka. „Gdybym tylko wiedziała, gdzie jej szukać...” — zdawała się nad czymś zastanawiać. „Może będzie lepiej, jak mi go pani da — powiedziała wreszcie. — O ile znam Ludwikę, przyleci bez chwili namysłu. Skoro tylko przeczyta w gazecie, gdzie mnie można znaleźć...”

Zawahałam się. Ale pomyślałam sobie, że na pewno ma rację.

— Dała jej pani ten list?

— Tak. Spojrzała na kopertę i wsadziła go do torebki. Już w progu zawołała: „Niedługo dostanie pani obiecany prezent, pani Marcelino!”

Maigret siedział w milczeniu, spuściwszy głowę, ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

— Czy to jest wszystko, co powiedziała pani inspektorowi?

— Chyba tak. Na pewno. Chwileczkę. Niech pomyślę. Nie widzę nic, co mogłabym jeszcze dodać.

— Czy Ludwika nie pokazała się już więcej?

— Nie.

— A więc nie wiedziała, że jej eks–przyjaciółka ma dla niej list?

— Przypuszczam, że nie. W każdym razie ja jej tego nie mówiłam.

W ciągu kwadransa Maigret dowiedział się więcej, niż mógł się spodziewać. Tylko że ślad nagle się urywał.

Więcej nawet niż o Ludwice Laboine myślał teraz o Lognonie, zupełnie jakby Fajtlapa zaczął nagle odgrywać główną rolę.

Lognon był tutaj; usłyszał tę samą historię.

A potem znikł jak kamfora.

Na jego miejscu każdy, wiedząc to, czego się tu dowiedział, zadzwoniłby poprzedniego dnia wieczorem do Maigreta, aby mu o tym powiedzieć i zapytać o instrukcje. Każdy, tylko nie Lognon! Ten, z uporem maniaka, chciał sam dojść wszystkiego.

— Wygląda na to, że pan się czymś trapi — zauważyła dozorczyńni.

— Przypuszczam, że inspektor nic pani nie mówił, nie zrobił żadnej uwagi?

— Nie. Podziękował mi i wyszedł; na chodniku skręcił w prawo.

Cóż pozostało więcej, jak tylko tak samo podziękować i odejść? Nie pytając Janviera o zdanie, Maigret zaciągnął go do baru, który odkrył zaraz po przyjeździe tutaj; zamówił dwa aperitify i wychylił swój bez słowa.

— Bądź tak dobry i zadzwoń na II komisariat, czy mają jakieś nowiny. Jeśli nie, spróbuj potem, połączyć się z jego żoną. Sprawdź także, czy nie telefonował do komendy.

Gdy Janvier wyszedł z kabiny, Maigret sączył powoli drugi aperitif.

— Nic!

— Widzę tylko jedno wytłumaczenie, a mianowicie, że zadzwonił .do Włoch.

— Chce pan to zrobić?

— Tak. Z biura dostaniemy prędeej połączenie.

Gdy zjawili się w komendzie, prawie wszyscy pracownicy byli właśnie na obiedzie. Maigret kazał sobie przynieść spis florenckich hoteli, wyszukał najbardziej luksusowe i w trzecim z kolei powiedziano mu, że istotnie, są tu państwo Santoni. W pokoju ich nie ma; przed pół godziną zeszli właśnie na obiad do restauracji.

W chwilę później udało mu się ich złapać; na szczęście kierownik sali pracował kiedyś w Paryżu i znał francuski piąte przez dziesiąte.

— Czy zechciałby pan poprosić do telefonu panią Santoni?

Kiedy kierownik spełnił prośbę Maigreta, w słuchawce dał się słyszeć agresywny głos męski:

— Byłbym panu wdzięczny za wyjaśnienie, co znaczy ta cała historia.

— Kto mówi?

— Marco Santoni. Wczoraj w nocy zerwano nas pod pretekstem, że paryska policja potrzebuje natychmiast jakiegoś wyjaśnienia. Dzisiaj znów polujecie na nas w restauracji.

— Proszę mi wybaczyć, panie Santoni. Tu mówi komisarz Maigret z policji śledczej.

— To mi nie wyjaśnia, co moja żona ma wspólnego z...

— Nie mamy nic przeciwko niej. Rzecz w tym, że jedna z jej dawnych przyjaciółek została zamordowana.

— To właśnie plótł ten facet wczoraj w nocy. I co z tego? Czy to jest powód, żeby...

— Pańskiej żonie powierzono na przechowanie pewien list. Być może pozwoliłby on nam...

— I tylko dlatego musieliście koniecznie dzwonić aż dwa razy? Ona powiedziała inspektorowi wszystko, co było jej o tym wiadome.

— Inspektor znikł!

— Ach!

W głosie nie słychać już było gniewu.

— W takim razie” poproszę żonę. Mam nadzieję, że później zostawicie ją już w spokoju i zatroszczy się, aby jej nazwisko nie pojawiło się w prasie.

— W słuchawce rozległy się szepty. Widocznie Janina była w kabinie razem z mężem.

— Słucham! — powiedziała.

— Przepraszam panią bardzo. Wie pani już, o co idzie. Dozorczyni z ulicy Ponthieu dała pani list adresowany do Ludwika.

— Żałuję, że się tego podjęłam!

— Co się z nim stało?

— W słuchawce zapanowała cisza; przez chwilę Maigret — miał wrażenie, że połączenie zostało przerwane.

— Czy pani oddała jej list tego wieczoru, kiedy brała pani ślub, a ona przyszła zobaczyć się z panią u „Romea”?

— Jasne, że nie. Nie sądzi pan chyba, że miałam go przy sobie w takim dniu.

— Czy ten list był powodem, dla którego Ludwika chciała się z panią zobaczyć?

Znów cisza, jakby chwila wahania.

— Nie. Nawet o nim nie słyszała.

— Czego więc chciała?

— Oczywiście, żeby jej pożyczyła pieniędzy. Powiedziała mi, że nie ma już ani grosza, że właścicielka wyrzuciła ją mieszkania, i dała mi do zrozumienia, że pozostało jej już tylko popełnić samobójstwo. Może nie wyraziła tego tak jasno. Z Ludwiką nigdy nic nie było jasne.

— Dała jej pani pieniądze?

— Trzy czy cztery tysiące. Nie liczyłam.

— Mówiła jej pani o tym liście?

— Tak.

— Co jej pani dokładnie powiedziała?

— To, co w mm było.

— Przeczytała go pani?

— Tak.

Znów chwila ciszy.

— Może mi pan wierzyć albo nie. Wcale nie przez ciekawość. Nawet nie ja go otwierałam. Marco znalazł go w mojej torebce. Powtórzyłam mu całą historię, ale on nie uwierzył, więc powiedziałam: „Otwórz go, sam się przekonasz”. Ściszone głosem szepnęła do męża, który pozostał w kabinie: „Cicho bądź! Lepiej powiedzić prawdę. I tak dojdą do tego”.

— Pamięta pani, co było w’ tym liście?

— Nie dosłownie. To było kiepsko napisane, złą francuszczyzną, z mnóstwem błędów ortograficznych. Mniej więcej tak: „Mam do pani bardzo ważną sprawę i niezwłocznie muszę się z panią zobaczyć. Niech pani spyta o Freda w barze Pickwicka przy ulicy Etoile. To będę ja. Gdyby mnie tam nie było, barman pani powie, gdzie mnie szukać”. Słucha pan, panie komisarzu?

Maigret mruknął notując:

— Proszę, niech pani mówi dalej.

— W liście było jeszcze: „Może się zdarzyć, że nie będę mógł zostać zbyt długo we Francji. W takim wypadku zostawię dokument barmanowi. On będzie chciał, żeby udowodniła pani swoją tożsamość. Zrozumie pani potem”.

— To wszystko?

— Tak.

— Przekazała pani Ludwice treść tego pisma?

— Tak.

— Czy wyglądało na to, że zrozumiała?

— Nie od razu. Potem zrobiła minę, jakby się nad czymś zastanawiała, podziękowała mi i wyszła.

— Czy w ciągu tej nocy nie miała pani od niej żadnej wiadomości?

— Nie. Skądże bym mogła mieć? Dopiero w dwa dni późsiej, przeglądając przypadkiem gazetę, dowiedziałam się, że ona nie żyje.

— Myśli pani, że poszła do baru Pickwicka?

— To całkiem możliwe. Co by pan zrobił na jej miejscu?

— Czy nikt poza panią i mężem nie wiedział, co było w liście?

— Nie wiem. List przeleżał u mnie w torebce dwa czy trzy dni.

— Pani mieszkała w hotelu Waszyngtona?

— Tak.

— Nikt pani nie odwiedzał?

— Z wyjątkiem Marka — nikt.

— Gdzie teraz jest ten list?

— Musiałam go gdzieś włożyć razem z innymi papierami.

— Czy pani rzeczy są jeszcze w hotelu?

— Oczywiście, że nie. W przeddzień ślubu przeniosłam wszystko do Marka, z wyjątkiem przyborów toaletowych i kilku sukien, po które służący poszedł jeszcze tego samego dnia. Myśli pan, że ten list stał się przyczyną jej śmierci?

— Niewykluczone. Czy nie powiedziała ani słowa na ten temat?

— Kompletnie nic.

— Czy nigdy nie wspominała o swoim ojcu?

— Kiedyś zapytałam o fotografię, którą nosiła w portfelu; odpowiedziała, że jest to zdjęcie ojca. „Czy twój ojciec jeszcze żyje?” — zapytałam. Spojrzała na mnie jak ktoś, kto nie ma ochoty mówić i ma jakieś tajemnice. Zamilkłam. Innym razem, gdy rozmawiałyśmy o naszych rodzicach, spytałam: „Co robi twój ojciec?” Popatrzyła na mnie w ten sam sposób, bez słowa, to było całkiem w jej stylu. Teraz, kiedy ona nie żyje, chwila nie jest stosowna, by źle o niej mówić, ale...

Stojący obok niej mąż dał jej widocznie znak, aby zamilkła.

— Powiedziałam panu wszystko, co mi było wiadome.

— Dziękuję pani. Kiedy spodziewa się pani powrócić do Paryża.

— Za tydzień.

Janvier przysłuchiwał się rozmowie przez drugą słuchawkę.

— Zdaje mi się, że odkryliśmy, jakim tropem pobiegł Lognon — rzekł z nikłym uśmiechem.

— Znasz bar Pickwicka?

— Widziałem go raz przechodząc, ale nigdy tam nie byłem.

— Ja też nie. Jesteś głodny?

— Wolałbym nareszcie dowiedzieć się prawdy.

Maigret uchylił drzwi do sąsiedniego pokoju i spytał Łukasza:

— Nie ma wiadomości od Lognona?

— Żadnych, szefie.

— Gdyby zadzwonił, znajdziesz mnie w barze Pickwicka przy ulicy Etoile.

— Miałem przed — chwilą wizytę, szefie. Zgłosiła się właścicielka hotelu przy ulicy Aboukir. Zleciało trochę, zanim się zdecydowała. Zdaje się, że ostatnimi czasy była tak zapracowana, że nie miała ani chwili, aby przeczytać gazetę. Krótko mówiąc, przyszła powiedzieć, że Ludwika Laboine mieszkała u niej przez cztery miesiące.

— Kiedy to było?

— Ostatnio. Wyprowadziła się dwa miesiące temu.

— Czyli wtedy, gdy przeniosła się na ulicę Clichy.

— Tak. Pracowała jako sprzedawczyni w jakimś magazynie na bulwarze Magenta. To jeden z tych sklepów, które reklamują na trotuarach resztki i towary z przeceny. Dziewczyna pracowała tam przez część zimy, aż do czasu, kiedy złapała bronchit i przez tydzień musiała siedzieć w domu.

— Kto się nią opiekował?

— Nikt. Miała pokój na najwyższym piętrze, coś w rodzaju mansardy. Hotel należy do najtańszych, mieszkają w nim przeważnie Algierczycy, Marokańczycy i Tunezyjczycy.

Teraz prawie wszystkie luki były już wypełnione. Można było odtworzyć losy dziewczyny od chwili, gdy opuściwszy matkę wyjechała z Nicei, aż do tego wieczoru, kiedy odnalazła Janinę u „Romea”.

— Idziesz ze mną, Janvier?

Pozostało tylko dojść do tego, co robiła ostatniej nocy, przez mniej więcej dwie godziny.

Kierowca taksówki widział ją na placu Saint-Augustin, potem, idącą ciągle w kierunku Łuku Triumfalnego, na rogu bulwaru Haussmanna i ulicy Saint-Honore.

To była trasa, którą należało przebyć, chcąc dostać się na ulicę Etoile.

Ludwika, która nigdy nie umiała ułożyć sobie życia, dla której jedyną ostoją stała się spotkana w pociągu obca dziewczyna, szła szybko, samotna, w deszczową noc, jakby spieszno jej było na spotkanie z przeznaczeniem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

*w którym wszystko rozgrywa się między ludźmi znającymi wagę słów
i gdzie jeszcze raz jest mowa o Fajtlapie.*

Wejście, wciśnięte pomiędzy warsztat szewski a pralnię, po której kręciły się pracujące kobiety, było tak wąskie, że większość przechodniów mijała je, nie domyślając się nawet, że jest tam bar. Zielonkawe dna butelek służące jako szyby uniemożliwiały zagłębienie do środka; nad drzwiami, zamaskowanymi ciemnoczerwoną zasłoną, wisiała stara latarnia,

której pseudogotyckimi literami wymalowano napis „Bar Pickwicka”. Gdy tylko Maigret przekroczył próg, dokonała się w nim jakaś zmiana — jakby zebrał się w sobie, zeszywniał i stał się oficjalny; towarzyszący mu Janvier uległ automatycznie podobnej metamorfozie.

Wąski i długi bar świecił pustkami. Szyby z butelek i wąska fasada domu sprawiały, że lokal był ciemny, tylko tu i ówdzie boazeria odbijała nieco światła.

Zza lady podniósł się na ich spotkanie mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami, niewidoczny, gdy drzwi były otwarte. Siedział jedząc właśnie coś, chyba kanapkę, którą teraz odłożył.

Z ustami jeszcze pełnymi jedzenia patrzył bez słowa na wchodzących; na jego obliczu malowała się najdoskonalsza obojętność. Miał bardzo czarne, niemal granatowe włosy, gęste brwi nadawały twarzy wyraz uporczywości, głęboki dołek w brodzie wyglądał jak blizna.

Zdawało się, że Maigret ledwie go zauważył, ale było jasne, że poznali się nawzajem i że spotykają się nie po raz pierwszy. Komisarz podszedł powoli do jednego z wysokich stołków, usiadł, rozpiął płaszcz i przesunął kapelusz na tył głowy. Janvier naśladował każdy jego ruch.

Po chwili milczenia barman zapytał:

— Napije się pan czegoś?

Maigret spojrzał z wahaniem na Janviera.

— A ty?

— Zastosuję się do pana.

— Dwa aperitify, jeśli masz coś takiego.

Albert obsłużył ich, postawił na mahoniowej ladzie karafkę mrożonej wody i czekał; przez chwilę można było sądzić, że bawią się w grę polegającą na tym, kto dłużej potrafi zachować milczenie.

Pierwszy przerwał je komisarz.

— O której był tu Lognon?

— Nie wiedziałem, że on nazywa się Lognon. Zawsze słyszałem, jak wołali na niego Fajtlapa.

— A więc o której?

— Może o jedenastej. Nie patrzyłem na zegarek.

— Dokąd go skierowałeś?

— Donikąd,

— Coś mu powiedział?

— Odpowiadałem na jego pytania.

Maigret dziubał jedną po drugiej oliwki ze stojącej na ladzie tacki i gryzł je z miną człowieka, który myśli o czymś zupełnie innym.

Od początku, gdy tutaj wszedł i barman wstał zza lady, rozpoznał w nim niejakiego Alberta Falconi, Korsykanina, którego już co najmniej dwukrotnie wsadzał za kratki pod zarzutem prowadzenia nielegalnej szulerni, a raz udowodnił mu przemyt złota do Belgii. Swego czasu Falconi był również podejrzany o to, że załatwił na Montmartrze jednego z członków bandy marsylczyków, ale z braku dowodów musiano go zwolnić. Miał około trzydziestu pięciu lat.

Obie strony unikały zbędnych słów. W jakimś sensie wszyscy tutaj byli zawodowcami w swoim fachu i każde wypowiedziane zdanie było dobrze wyważone i miało precyzyjne znaczenie.

— Czytając we wtorek gazetę, rozpoznałeś tę małą?

Albert nie zaprzeczył ani nie potwierdził, patrząc na komisarza obojętnym wzrokiem.

— Ilu klientów było w lokalu wtedy, gdy tu przyszedła w poniedziałek wieczór?

Wzrok Maigreta błędził po sali. Jest w Paryżu wiele takich barów jak ten. Ktoś, kto przechodząc wstąpi tu, gdy w środku nie ma żywego ducha, może się zastanawiać, co właściwie stanowi — podstawę ich egzystencji. Tymczasem rzecz polega po prostu na tym, że lokaliki te mają swoją stałą klientelę, ludzi, należących prawie zawsze do tego samego określonego środowiska, którzy spotykają się w nich regularnie.

Rano Albert pewnie w ogóle nie otwierał. Prawdopodobnie przyszedł dopiero co i jeszcze nie skończył ustawiać flaszek. Ale za to wieczorem wszystkie stołki były na pewno zajęte i z trudem można się było przecisnąć pod ścianą. W głębi sali majaczyły schody prowadzące w dół. Zdawało się, że barman także liczy wzrokiem zydle.

— Prawie komplet — mruknął wreszcie.

— To było między dwunastą a pierwszą w nocy?

— Bliżej pierwszej.

— Widywałeś ją już przedtem?

— Była tu po raz pierwszy.

Wszyscy na pewno obrócili się ku Ludwice i gapili się z zaciekawieniem. Jeżeli bywały tu jakieś kobiety, to tylko prostytutki, a one także wyglądały zupełnie inaczej, niż ta dziewczyna. Jej podniszczona wieczorowa suknia, aksamitne, nie na nią szyte wdzianko musiały niewątpliwie wywołać pewną sensację.

— Co ona zrobiła?

Albert zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie przypomnieć.

— Usiadła.

— Gdzie?

Spojrzał znowu na zydle.

— Mniej więcej tam, gdzie pan teraz siedzi. Było to jedyne wolne miejsce koło drzwi.

— Co piła?

— Szklaneczkę martini.

— Od razu zamówiła martini?

— Jak zapytałem, co podać.

— A potem?

— Dłuższą chwilę siedziała nic nie mówiąc.

— Czy miała torebkę?

— Położyła ją na ladzie. Torebka była wyszywana srebrem.

— Lognon pytał cię o to?

— W trochę innej kolejności.

— Mów dalej.

— Wolę odpowiadać,

— Zapytała, czy masz dla niej jakiś list?

Skinął potakująco głową.

— Gdzie on był?

Odwrócił się, jakby na zwolnionym filmie, i wskazał miejsce między dwiema butelkami, które nieczęsto musiały być w użyciu; stało tam kilka kopert adresowanych do klientów baru.

— Tutaj.

— Oddałeś jej ten list?

— Zażądałem okazania dowodu.

- Dlaczego?
- Bo tak mi kazano zrobić.
- Kto ci kazał?
- Ten facet.

Ani razu nie powiedział więcej, niż było konieczne, i w chwilach, kiedy zapadało milczenie, najwidoczniej usiłował przewidzieć następne pytanie.

- Jimmy?
- Tak.
- Znasz jego nazwisko?
- Nie. W barach ludzie rzadko się przedstawiają.
- Zależy w jakich.
- Albert wzruszył ramionami, jakby chcąc okazać, że nie czuje się tym dotknięty.
- Mówił po francusku?
- Nawet nieźle jak na Amerykanina.
- Co to był za typ?
- Chyba wie pan lepiej niż ja, nie?
- Gadaj mimo to.
- Zdaje mi się, że musiał siedzieć kilka lat pod całą.
- Mały, chudy, źle ubrany?
- Tak.
- Był tu w poniedziałek? 7
- Wyjechał z Paryża pięć czy sześć dni wcześniej.
- Przedtem przychodził codziennie?

Albert potakiwał cierpliwie i — ponieważ szkalneczki były już puste — chwycił butelkę, z której nalał poprzednio.

- Spędzał tu większość wolnego czasu.
- Wiesz, gdzie mieszkał?
- Chyba gdzieś niedaleko w hotelu, nie wiem, w którym.
- Dał ci już ten list?
- Nie. Powiedział tylko, że jeśli jakaś dziewczyna będzie o niego pytać, żeby ją powiadomić, w jakiej porze można go „tutaj złapać”.
- Jakie godziny podał?
- Po południu od czwartej, a potem prawie cały wieczór aż do późna w nocy.
- O której zamykasz?
- Koło drugiej, trzeciej nad ranem, to zależy.
- Rozmawiał z tobą?
- Czasami.
- O sobie?
- O różnych rzeczach.
- Mówił, że go wypuścili?
- Można się było domyśleć.
- Z Sing Singu?
- Chyba. O ile Sing Sing jest w stanie Nowy Jork, nad Hudsonem, to stamtąd.
- Powiedział ci, co jest w liście.
- Nie. Mówił tylko, że to ważne. Spieszyło mu się z wyjazdem.
- Ze względu na policję?
- Z powodu córki. W przyszłym tygodniu jest jej ślub w Baltimore. Dlatego właśnie nie mógł czekać dłużej i musiał jechać.
- Opisał ci tę dziewczynę, która miała się zgłosić?

— Nie. Kazał mi tylko upewnić się dobrze, czy to rzeczywiście ona. Dlatego prosiłem ją o dowód.

— Przeczytała list tu, na miejscu?

— Zeszła na dół.

— Co jest tam na dole?

— Toalety i automaty telefoniczne.

— Myślisz, że poszła aż na dół, żeby przeczytać ten list?

— Sądzę, że tak.

— Wzięła ze sobą torebkę?

— Tak.

— Jaką miała minę, kiedy wróciła na górę?

— Nie była już taka przegrana jak przedtem.

— Piła coś, zanim tu przyszła?

— Nie wiem. Może.

— Co zrobiła potem?

— Usiadła z powrotem na swoim miejscu przy barze.

— Zamówiła następne martini?

— Ona nie. Ten drugi, Amerykanin.

— Jaki drugi Amerykanin?

— Wysoki drań z blizną i uszami poszarpanymi od uderzeń.

— Znasz go?

— Nawet nie wiem, jak ma na imię.

— Kiedy tu zaczął przychodzić?

— Mniej więcej w tym samym czasie co Jimmy.

— Znali się?

— Jimmy nie znał go na pewno.

— A tamten?

— Myślę, że on śledził Jimmy'ego.

— Przychodził w tych samych porach?

— Mniej więcej. Zajeżdżał wielką popielatą landarą, którą stawiał przed wejściem.

— Ten cały Jimmy nic o nim nie wspominał?

— Pytał mnie, czy go nie znam.

— Odpowiedziałeś, że nie?

— Tak. Zdaje się, że to go niepokoiło. Potem powiedział mi, że to musi być facet z FBI, który chce się przekonać, po co on przyjechał do Francji, i śledzi go.

— Wierzysz w to?

— Od dawna już w nic nie wierzę.

— Czy po wyjeździe Jimmy'ego do Stanów tamten dalej przychodził?

— Regularnie.

— Czy na kopercie było jakieś nazwisko?

— Ludwika Laboine. I jeszcze: Paryż.

— Klienci mogli to przeczytać ze swojego miejsca?

— Na pewno nie.

— Nigdy ani na chwilę nie wychodzisz zza lady?

— Nie wtedy, jak są goście. Nie ufam nikomu.

— Czy on rozmawiał o czymś z dziewczyną?

— Spytał, czy pozwoli postawić sobie szklaneczkę.

— Zgodziła się?

— Spojrzała na mnie, jakby chciała prosić o radę. Widać było, że nie jest do tego przyzwyczajona.

— Dalesz jej znak, żeby się zgodziła?
— Nie dawałem żadnych znaków. Podalem im tylko dwie —szklaneczki martini. Potem zawołano mnie z drugiego końca lady; poszedłem tam i przestałem zwracać na nich uwagę.
— Czy ona wyszła razem z Amerykaninem?
— Tak.
— Odjechali samochodem?
— Słyszałem warkot silnika.
— Czy to jest wszystko, co powiedziałeś Lognonowi?
— Nie. Pytał mnie jeszcze o inne rzeczy.
— Jakie?
— Na przykład, czy facet dokądś telefonował. Odpowiedziałem, że nie. Następnie czy wiem, gdzie mieszka. Odparłem również, że nie. W końcu, czy mam pojęcie, dokąd on mógł pójść.

Albert utkwiał w Maigrecie ponury wzrok i czekał.

— No i?
— Będzie pan akurat taki mądry, jak Fajtlapa. Poprzedniego dnia Amerykanin spytał mnie o najlepszą drogę do Brukseli. Poradziłem mu, żeby jechał z Paryża na Saint Denis, potem przez Compiègne i...
— To wszystko?
— Nie. Jakąś godzinę przedtem, zanim przyszła mała, zaczął znów o tej Brukseli. Tym razem chciał wiedzieć, jaki tam jest najlepszy hotel. Odparłem, że sam zatrzymuję się zawsze w Palace, naprzeciw Dworca Północnego.
— Która mogła być, jak powiedziałeś to Lognonowi?
— Koło pierwszej po północy. Z nim nie szło tak szybko, jak z panem, bo musiałem obsługiwać klientów.
— Czy masz rozkład jazdy?
— Jak chodzi o pociągi do Brukseli, to nie ma problemu. Inspektor zszedł na dół, aby zadzwonić na dworzec. Tej nocy nie było już żadnego pociągu. Pierwszy odchodził o piątej trzydzieści rano.
— Powiedział ci, że chce jechać?
— Nie musiał mi tego mówić.
— Jak myślisz, co mógł robić do piątej rano?
— A co pan by robił?

Maigret zastanowił się. Przed chwilą wyłoniła się sprawa dwu cudzoziemców; obaj, jak się zdaje, mieszkali gdzieś w pobliżu i obaj odkryli bar Pickwicka.

— Myślisz, że Lognon obszedł wszystkie okoliczne hotele?
— To pan prowadzi śledztwo, nie? Nie mogę odpowiadać za to, co zrobił Fajtlapa.
— Janvier, czy możesz zejść na dół i zadzwonić do Brukseli? Zapytaj w „Pałace”, czy widzieli Lognona. Powinien był wylądować tam koło wpół do dziesiątej. Być może czeka jeszcze ciągle na tego Amerykanina z samochodem.

Podczas gdy inspektor telefonował, Maigret nie odzywał się ani słowem; Albert, jakby uważając rozmowę za skończoną, usiadł, z powrotem za ladą i zaczął jeść.

Maigret nie tknął drugiej szklaneczki, ale skończył leżące na tacce oliwki. Siedział z oczyma utkwionymi w głąb baru, patrzył na ustawione równo krzesła, na prowadzące w dół schodki po drugiej stronie sali; można by rzec, iż widzi tych wszystkich, którzy byli tu w poniedziałek wieczór, kiedy w niebieskiej wieczorowej sukni i aksamitnej pelerynce, z wyszywaną srebrem torebką w rękę stanęła w drzwiach Ludwika Laboine.

Jego czoło przecinała głęboka bruzda. Dwa razy już otwierał usta, chcąc coś powiedzieć, i dwukrotnie rozmyślił się.

Upłynęło przeszło dziesięć minut i barman miał dość czasu, aby skończyć śniadanie, pozmiatać ze stolika okruszki chleba i dopić filiżankę kawy. Chwyciwszy wątpliwej czystości ściereczkę zabrał się do ścierania kurzu ze stojących na półce butelek, kiedy zjawił się Janvier.

— Jest przy aparacie, szefie. Chce pan z nim mówić?

— To zbyt bezpieczne. Powiedz mu, że może wracać.

Janvier zawahał się, nie mogąc ukryć zdziwienia, jakby nie wierzył własnym uszom lub wątpił, czy Maigret dobrze wszystko przemyślał. W końcu, przyzwyczajony do posłuszeństwa, odwrócił się na pięcie i mruknął:

— Dobrze!

Albert nie drgnął nawet, ale jego twarz stężała. Odruchowo wycierał dalej flaszki, jedną za drugą, stojąc tyłem do komisarza, którego mógł obserwować w umieszczonym między półkami lustrze.

Gdy Janvier wrócił, Maigret zapytał:

— Protestował?

— Zaczął coś mówić, ale nie skończył i powiedział: „Jeśli to jest rozkaz!”

Maigret zeskoczył ze stołka, zapiął płaszcz.

— Ubieraj się, Albert — rzekł krótko.

— Co?

— Powiedziałem: ubieraj się. Przejedziemy się na Quai des Orfèvres.

Barman zdawał się nie pojmować.

— Nie mogę zostawić baru...

— Masz chyba jakiś klucz, nie?

— Czego pan właściwie chce ode mnie? Powiedziałem panu wszystko, co mi było wiadome.

— Chcesz, żebyśmy cię zabrali siłą?

— Już, idę. Ale...

Przez cały czas jazdy siedział sam z tyłu i nie odzywał się ani słowa. Patrzył ciężko przed siebie jak człowiek, który stara się coś zrozumieć. Janvier milczał także. Maigret bez słowa pykał fajkę.

— Wyłaź!

Kazał mu iść pierwszemu do swojego pokoju. Idąc za nim napytał Janvier:

— Która teraz jest w Waszyngtonie?

— Powinna być ósma rano.

— Zanim dostaniesz rozmowę, nawet korzystając z pierwszeństwa, będzie koło dziewiątej. Połącz mnie z FBI. Jeśli Clark tam jest, postaraj się, żeby go zawołali. Chciałbym z nim porozmawiać.

Powoli ściągnął płaszcz i kapelusz, i schował je na swoje miejsce do szafy.

— Możesz zdjąć okrycie. To nam zajmie trochę czasu.

— Ciągłe nie mówi mi pan dlaczego?...

— Ile godzin spędziłeś tutaj tego dnia, kiedy rozmawialiśmy o tamtych sztabach złota?

Albert nie musiał długo szukać w pamięci.

— Cztery.

— Nic nie zauważyłeś w gazecie we wtorek rano?

— Fotografię dziewczyny.

— Było tam także drugie zdjęcie; takich trzech cwaniaków, nazywali „dziurkaczami”. Przyznali się o trzeciej ranem. Siedzieli w tym pokoju długo, bardzo długo. **T r z y d z i e ś c i g o d z i n .**

Maigret usiadł i zabrał się do porządkowania fajek z miną człowieka, który stara się znaleźć najlepszą.

— Ty już po czterech godzinach wolałeś mieć to z głowy. Jak o mnie chodzi, jest mi wszystko jedno. Jest nas tu trochę, tak że możemy się zmieniać i mamy przed sobą kupę czasu. Wykręcił numer piwiarni „Dauphine”.

— Mówi Maigret. Czy moglibyście mi przysłać kilka kanapek i piwo?... Dla ilu?...

Przypomniał sobie, że Janvier także był bez śniadania.

— Dla dwóch! Tak, zaraz. Zgoda, cztery małe jasne.

Zapaliwszy fajkę podszedł do okna i stał chwilę przyglądając się samochodom i pieszym sunącym przez most Saint-Michel.

Z tyłu, za nim, Albert zapalał papierosa starając się ukryć drżenie palców, miał poważny wyraz twarzy jak ktoś, kto rozważa wszystkie „za” i „przeciw”.

— Co pan chce wiedzieć? — zapytał w końcu z wahaniem.

— Wszystko.

— Powiedziałem prawdę.

— Nie.

Maigret nie odwracał się nawet, aby na niego spojrzeć. Patrząc na niego od tyłu odnosiło się naprawdę wrażenie, że stoi tam człowiek, który nie ma nic innego do roboty, jak tylko palić fajkę i kontemplować z uwagą ruch uliczny.

Albert zamilkł ponownie. Siedział bez słowa tak długo, że chłopak z piwiarni zdążył zjawić się z tacą, którą postawił na biurku.

Maigret uchylił drzwi do biura inspektorów.

— Janvier! — zawołał.

Janvier zjawił się.

— Mam dostać połączenie za jakieś dwadzieścia minut.

— Obsłuż się. To dla nas obu.

Jednocześnie dał mu znak, by poszedł jeść do drugiego pokoju.

Maigret rozsiadł się wygodnie i również zajął się jedzeniem. Role uległy odwróceniu. Przed chwilą w barze Pickwicka zastali Alberta przy śniadaniu.

Zdawało się, że komisarz zupełnie o nim zapomniał, że jest pochłonięty wyłącznie jedzeniem i pociąganiem piwa. Spojrzenie jego błędziło po rozrzuconych na biurku papierach.

— Jest pan pewny swego, co?

— Z pełnymi ustami Maigret kiwnął głową.

— Myśli pan, że zacznę śpiewać?

Wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest mu to obojętne.

— Czemu kazał pan wracać Fajtłapie? Maigret uśmiechnął się.

W tym momencie Albert z wściekłością zgniół trzymany w ręce papierosa; musiał przy tym poparzyć sobie palce, bo mruknął:

— Cholera!

Nie mógł usiedzieć ze zdenerwowania, wstał, podszedł do okna i oparłszy czoło o szybę, zaczął wyglądać na ulicę.

Kiedy się odwrócił, miał minę człowieka, który powziął decyzję. Jego nerwowość gdzieś znikła, napięte mięśnie rozluźniły się. Bez zaproszenia pociągnął łyk piwa ze stojącego na tacy drugiego kufła i otarłszy usta usiadł z powrotem. Był to jego ostatni wyzywający gest — aby zachować twarz.

— Jak pan to odgadł? — zapytał.

Maigret odparł spokojnie:

— Nie musiałem zgadywać. Od razu wiedziałem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY 9

*w którym okazuje się, że schody mogą odgrywać ważną rolę,
a damska torebka jeszcze ważniejszą.*

Maigret pyknął kilka razy z fajki i bez słowa spojrzął na swojego rozmówcę. Można by sądzić, że przeciągał milczenie, niczym aktor pragnący nadać wielką wagę temu, co za chwilę powie. Nie zgrywał się bynajmniej. Twarz barmana zaledwie majaczyła mu przed oczyma. Myślami był przy Ludwice Laboine. Przez cały czas siedząc w barze przy ulicy Etoile, kiedy Janvier poszedł na dół telefonować, usiłował wyobrazić ją sobie, jak wchodzi do przepelnionego lokalu, ubrana w biedniutką suknię wieczorową i aksamitne nie pasujące do niej wdzianko.

— Widzisz — mruknął w końcu — na pierwszy rzut oka twoja historyjka jest bez zarzutu, jest aż zbyt dobra i chyba bym ci uwierzył, gdybym nie znał tej dziewczyny.

Albert zdziwiony nie mógł powstrzymać pytania:

— To pan ją znał?

— W końcu udało mi się poznać ją dość dobrze. Jeszcze teraz, mówiąc to, widział, jak chowa się pod łóżkiem u panny Poré, a nieco później, jak kłóci się z Janiną Armenieu w mieszkaniu przy ulicy Ponthieu. Szedł za nią krok w krok do nędznego pokoiku przy ulicy Aboukir i do sklepu na bulwarze Magenta, gdzie pracowała na wolnym powietrzu bez względu na pogodę.

Mógłby niemal powtórzyć każde zdanie, które usłyszał na jej temat, to, co mówiła dozorczyńni i to, co powiedziała wdowa Crémieux.

Widział ją, jak wchodzi do „Maxima”, a w miesiąc potem kręci się pomiędzy tłumem wesołych gości u „Romea”.

— Po pierwsze jest więcej niż pewne, że nie usiadła przy barze. Bo czuła się okropnie nieswojo, wszyscy gapili się na nią; widać było na pierwszy rzut oka, że ma na sobie pożyczoną suknię.

Po drugie, nawet jeśli usiadła, to nie zamówiła martini. Błąd, który popełniłeś, polegał na tym, że wzięłeś ją za pierwszą lepszą ze swoich klientek, i gdy spytałem, co piła, odpowiedziałeś bez wahania: „martini”.

— Nic nie piła — przyznał Albert.

— Nie zeszła również na dół, aby przeczytać list. Podobnie jak w większości takich barów jak twój, gdzie przychodzą sami swoi, nad schodami nie ma żadnego napisu. A gdyby nawet był, wątpię, by miała odwagę defilować za plecami gromady facetów przeważnie będących już chyba na dobrym gazie.

Wreszcie gazety nie podały szczegółów sekcji. Napisano tylko, że w żołądku zamordowanej znajdował się alkohol, nie dodając, iż chodziło o rum. A przecież koktajl martini robi się z dżinu i wermutu.

Maigret nie triumfował, być może dlatego, że ciągle myślał o Ludwice. Mówił półgłosem, jakby sam do siebie.

— Naprawdę oddałeś jej ten list?

— Oddałem.

— Chcesz powiedzieć — kopertę?

— Tak.

— A w środku była kartka czystego papieru?

— Tak.

— Kiedy otwarłeś prawdziwy list?

— Gdy upewniłem się, że Jimmy wsiadł do samolotu odlatującego do Stanów.

— Pojechałeś za nim na lotnisko?

— Tak.

— Dlaczego? Jeszcze nie wiedziałaś, o co chodzi?

— Jeśli wypuszczony z mamra facet wybiera się w podróż przez ocean tylko po to, aby doręczyć dziewczynie jakąś wiadomość, chyba musi to być coś ważnego.

— Masz ten list?

— Zniszczyłem go.

Maigret uwiarylił przekonany, że Albertowi nie chciałoby się już łąć.

— Co było w tym liście?

— Mniej więcej coś w tym rodzaju: „Być może dotychczas niewiele się tobą zajmowałem, ale kiedyś przekonasz się, że to dla twojego dobra. Cokolwiek by ci mówiono, nie sądz mnie zbyt surowo. Każdy sam wybiera swoją drogę, często już wtedy, gdy jeszcze nie umie rozróżnić, co dobre, a co złe, a potem jest za późno.

Możesz zaufać osobie, która ci odda ten list. Gdy go dostaniesz, ja już nie będę żył. Niech cię to nie martwi, jestem w tym wieku, kiedy pora umierać.

Pociesz się, że odtąd nie będziesz już znała, co to bieda. Jak tylko zdołasz, postaraj się o paszport do Stanów Zjednoczonych. — Brooklyn jest jednym z przedmieść Nowego Jorku, być może uczyłaś się tego w szkole. Tam, pod niżej podanym adresem, znajdziesz mały zakład krawiecki. Właścicielem jest Polak nazwiskiem...”

Albert urwał. Maigret gestem dał mu znać, by mówił dalej.

— Nie pamiętam...

— Owszem, pamiętasz.

— Dobra! „...nazwiskiem Łukaszek. Pójdiesz do niego. Pokażesz mu swój paszport, a on da ci pewną sumę w gotówce...”

— To wszystko?

— Było tam jeszcze trochę na temat uczuć, ale zapomniałem, jak to szło.

— Pamiętasz adres?

— Tak. Trzydziesta siódma ulica 1214.

— Kogo wciągnąłeś w ten interes?

Albert znów zamilkł, ale Maigret nie spuszczał z niego surowego spojrzenia.

— Pokazałem list kumplowi.

— Komu?

— Bianchiemu.

— Ciągle jeszcze siedzi z tą Dużą Janką?

Bianchiego podejrzewano, że stał na czele bandy Korsykańczyków; Maigret aresztował go dobre dziesięć razy, ale tylko w jednym wypadku udało mu się uzyskać wyrok skazujący. Co prawda Bianchi z miejsca dostał wtedy piątkę.

Komisarz wstał i uchylił drzwi do sąsiedniego pokoju.

— Jest tam Torrence.

Po chwili młody inspektor stanął w progu.

— Weźmiesz ze sobą dwu albo trzech ludzi. Sprawdź najpierw, czy Duża Janka mieszka ciągle przy ulicy Lepic. Jest szansa, że znajdziesz tam Bianchiego. Jeśli go u niej nie ma, postaraj się jakoś dowiedzieć, gdzie go szukać. Bądź ostrożny, bo może się bronić.

Albert przysłuchiwał się z obojętną miną.

— Mów dalej.

— Czego pan jeszcze chce?

— Bianchi nie mógł przecież wysłać do Stanów byle kogo, żeby poszedł do Łukaszka i upomniał się o forszę. Domyślał się, że Polak ma dokładne wskazówki r zażąda dowodu tożsamości.

Było to tak oczywiste, że Maigret nawet nie spodziewał się potwierdzenia.

— Czekaliście więc, aż ona zjawi się w barze.

— Nie mieliśmy zamiaru jej zabić.

Albert zdziwił się usłyszawszy odpowiedź komisarza:

— Jestem o tym przekonany.

To byli zawodowcy, a tacy nie lubią zbędnego ryzyka. Potrzebny im był tylko dowód osobisty dziewczyny. Dostawszy go w łapy, załatwiłby paszport pierwszej lepszej współpracownicy, która występowałaby jako Ludwika Laboine.

— Bianchi był u ciebie w lokalu?

— Tak.

— Czy ona wyszła nie otwierając listu?

— Tak.

— Twój szef miał wóz przed barem?

— Z Tatuowanym za kółkiem. Jak już powiedziałem tyle, będę gadał dalej.

— Pojechali za nią?

— Mnie przy tym nie było. Wiem tyle, ile mi potem opowiadali. Tatuowanego nie ma pan co szukać w Paryżu. Po tym, co zaszło, dostał cykorii i nawiał.

— Do Marsylii?

— Niewykluczone.

— Przypuszczam, że chcieli jej ukraść torebkę?

— Tak. Wyprzedzili ją. W chwili, gdy się z nią zrównali, Bianchi wyskoczył z samochodu. Ulica była pusta. Złapał torebkę nie wiedząc, że była przywiązana łańcuszkiem do przegubu. Dziewczyna upadła na kolana. Widząc, że już otwiera usta do krzyku, uderzył ją w twarz. Zdaje się, że uczepliła się go, próbując wzywać pomocy. Wtedy wyciągnął z kieszeni pałkę i uśpił ją.

— Historyjkę z tym drugim Amerykaninem wymyśliłeś tylko po to, aby się pozbyć Lognona?

— A co by pan zrobił na moim miejscu? Fajtłapa nie skapował nic a nic.

Przez większą część śledztwa inspektorowi udawało się niemal zawsze wyprzedzać całą policję śledczą. I gdyby trochę wnikliwiej zajął się mentalnością dwudziestoletniej dziewczyny, w końcu osiągnąłby sukces, na który czekał tak długo, że aż zdążył zwątpić, czy go w ogóle zdobędzie.

O czym mógł teraz myśleć, siedząc w pociągu wiozącym go z powrotem do Paryża? Prawdopodobnie przeklinał swego pecha, przekonany bardziej niż kiedykolwiek, że cały świat sprzysiął się przeciw niemu. Z punktu widzenia techniki śledztwa nie popełnił żadnego błędu, ale też na żadnym kursie dla policjantów nie uczyli, jak wejść w skórę dziewczyny wychowanej w Nicei przez na wpół zwariowaną matkę.

Całe lata Ludwika szukała uparcie i bezskutecznie swojego miejsca w życiu. Zagubiona wśród świata, którego nie mogła pojąć, uczepliła się desperacko pierwszej napotkanej osoby i ta wystawiła ją do wiatru.

Samotnie więc musiała stawić czoło wrogiemu światu, którego reguły gry na próżno usiłowała sobie przyswoić.

Czy rzeczywiście nie wiedziała nic o swoim ojcu? Już jako mała dziewczynka na pewno zadawała sobie pytanie, czemu jej matka nie jest taka jak inne, dlaczego obie żyją inaczej niż wszyscy?

Z całych sił próbowała się przystosować. Uciekła. Śledziła drobne ogłoszenia w gazetach. A jednak, podczas gdy Janina Armenieu znalazła bez trudu pracę, ją wylewano zewsząd, gdziekolwiek się obróciła.

Czyżby, podobnie jak Lognon, doszła w końcu do przekonania, że wszystko się przeciwko niej sprzysięgło?

Na czym to polegało, że była aż tak inna? Dlaczego to wszystko musiało akurat ją spotykać? Nawet jej śmierć zakrawała na ironię losu. Gdyby łańcuszek wyszywanego

srebrem cacka nie oplatał jej przegubu, Bianchi poprzestały na wyrwaniu jej torebki i samochód odjechał na pełnym gazie.

Gdyby opowiedziała całą historię policji, nikt by jej nie uwierzył.

— Dlaczego przywieziono zwłoki na plac Vintimille?

— Po pierwsze, nie można ich było zostawić w pobliżu mojego baru. Po drugie, w tym, co miała na sobie, bardziej pasowała do Montmartre'u. A tam wybrano pierwsze lepsze puste miejsce.

— Czy oni wysłali już kogoś do konsulatu amerykańskiego?

— Oczywiście, że me. Czekają.

— Szefie, inspektor Clark przy aparacie.

— Możesz przełączyć tutaj.

Chodziło już tylko o sprawdzenie niektórych faktów i raczej z ciekawości Maigret chciał zadać FBI kilka pytań.

Jak zawsze, kiedy miał do czynienia z Clarkiem, rozmowa toczyła się na poły w złej angielszczyźnie Maigreta, na poły w równie mizernej francuszczyźnie Amerykanina, gdyż każdy starał się używać języka swojego rozmówcy.

Zanim Clark zdołał zrozumieć, o co chodzi, Maigret musiał wymienić wszystkie wcielenia Juliusza Van Crama: Lemke, Stieb, Ziegler, Marek, Spengler, Donley...

Właśnie jako — Donleya pochowano go miesiąc temu na więziennym cmentarzu Sing Singu, gdzie odsiadywał ośmioletni wyrok za sprzeniewierzenie.

— Znalezione forszę?

— Tylko drobną część.

— Dużo tego było?

— Około stu tysięcy dolarów.

— Jego wspólnik miał na imię Jimmy?

— Jimmy O'Malley. Zafasował trzy lata i zwolniono go dwa miesiące temu.

— Zrobił sobie małą wycieczkę do Francji.

— Byłem pewny, że jego córka wychodzi w tych dniach za mąż.

— Toteż pojechał z powrotem na ślub. Pieniądze są w Brooklynie u krawca, Polaka, nazwiskiem Łukaszek.

Mimo wszystko w głosie Maigreta brzmiały nutki triumfu.

— Łukaszek, który prawdopodobnie nie wie, co przechowuje, ma oddać paczkę dziewczynie, która przedstawi się jako Ludwika Laboine.

— Czy ona się tu zjawi?

— Niestety nie.

Maigretowi zabrakło właściwego słówka. Chcąc się poprawić, dodał szybko:

— Umarła w tym tygodniu w Paryżu.

Wymienili jeszcze trochę okolicznościowych grzeczności, a nawet parę dowcipów z Clarkiem, z którym nie widzieli się ładnych kilka lat. Kiedy komisarz odłożył słuchawkę, zdawał się zdziwiony widokiem Alberta, który siedział ciągle na swoim miejscu, paląc papierosa.

Było prawie pewne, że agenci FBI znajdą bez trudu dolary i oddadzą je jakiemuś bankierowi, którego były własnością, albo towarzystwu ubezpieczeń, bo facet z pewnością był ubezpieczony od kradzieży. Polski krawiec pójdzie do więzienia. Za współudział w wykonaniu polecenia Jimmy O'Malley — zamiast bawić się na ślubie córki w Baltimore — wróci prawdopodobnie do swojej celi w Sing Singu.

Los Ludwiki zależał właściwie od drobiazgu, od łańcuszka owiniętego wokół przegubu. Gdyby panna Irena z ulicy Douai znalazła po prostu inny model torebki dla tej dziewczyny, która pewnego wieczoru przyszła wypożyczyć suknię...

A gdyby zjawiła się w porę na ulicy Ponthieu, tak aby osobiście odebrać list?...

Czy Ludwika Laboine pojechałaby do Ameryki?

I co zrobiłaby potem, mając sto tysięcy dolarów?

Maigret dopił piwo. Było letnie. Wysypał popiół nie do popielniczki, ale do wiadra na węgiel, stukając fajką w obcas.

— Możesz pozwolić na chwilę, Janvier?

Pokazał mu barmana, który od razu zrozumiał, o co chodzi. Zaczynał się już do tej myśli przyzwyczajając.

— Weź go do swojego pokoju, spis zeznanie, każ mu podpisać i odstaw go do więzienia. Zatelefonuję do sędziego Comélieu.

To była już tylko codzienna rutyna. Sprawa przestała go interesować. W chwili, gdy Albert przekraczał próg, przywołał go z powrotem.

— Zapomniałem zapłacić za trzy aperitify.

— To na rachunek firmy.

— Nigdy w życiu!

Wręczył mu kilka banknotów i zupełnie jakby to było w barze przy ulicy Etoile, mruknął:

— Reszta dla ciebie.

I jakby stojąc jeszcze za ladą w swoim lokalu, barman odpowiedział machinalnie:

— Dziękuję panu.